POLSKA W ROKU 1914-15

Wydawnictwo ilustrowane
pod redakcyą
Stanisława Dzikowskiego.

ZESZYT DRUGI:

WALKI O WARSZAWĘ

Warszawa. — — — — — E. WENDE i S-ka — — — — — Lwów.

Za zezwoleniem wojennej cenzury.
Warszawa, 31 marca (13 kwietnia) 1915

ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI i S-ka, WARSZAWA, CHMIELN

SPIS ILUSTRACJI W ZESZYCIE DRUGIM.

Miłosierdzie Warszawy.

Sanitarjuszka i ranny żołnierz. Fot. Stanisław Nofok.

Przez cały czas trwania wojny Warszawa mieściła w swych murach liczne rzesze bezdomnych ze wszystkich stron kraju. Fot. Stanisław Nofok.

Pod Warszawą w styczniu roku 1915.

Wojska turkmeńskie obozowały niedaleko miasta. Fot. S. M.

Konie turkmeńskie, nieprzyzwyczajone do naszego klimatu. Fot. S. M.

Okopy i zagrody przygotowane zawczasu. Fot. S. M.

Pod Warszawą w lutym roku 1915.

Ucieczka z miejscowości objętych wojną. Fot. S. M.

Przemarsz wojsk. Fot. A. S.

Opuszczona przez mieszkańców wieś w okolicy Sochaczewa. Fot. I. M.

Czysta bielizna na pozycjach czołowych. Fot. E. N.

Podjazd kozacki. Fot. A. S.

Przed płonącą wioską. Fot. A. S.

Rekonesans oficerski. Fot. A. S.

Odpoczynek baterji. Fot. A. S.

Podjazdy kozackie. Fot. A. S.

Ludność miejscowa pracowała niejednokrotnie przy kopaniu transzeji. Fot. A. S.

Ludność miejscowa przy budowaniu fortyfikacji rezerwowych. Fot. A. S.

Okopy. Fot. A. S.

W okopach. Fot. A. S.

Ostrzeliwanie nieprzyjaciela z chaty. Fotogr. A. S.

Karabin maszynowy. Fot. A. S.

Zmiana pozycji. Fot. A. S.

Opatrywanie rannych na pozycjach przez ludność polską. Fot. A. S.

Opatrywanie rannych w okopach przez sanitarjusza wojskowego. Fot. A. S.

Jeńcy niemieccy. Fot. A. S.

Ranni żołnierze niemieccy. Fot. A. S.

Wierny przyjaciel. Fot. A. S.

Po bitwie. Fot. A. S.

WARSZAWA W LUTYM ROKU 1915.



PRZEMARSZ WOJSKA PRZEZ KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE I PLAC ZYGMUNTA.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.

I.

Wspomnienia każdego z nas, co przeżył wojnę w murach Warszawy i najbliższej jej okolicy nie mogą zawierać w sobie treści zupełnie oryginalnej, niedostępnej dla innych. Każdy przeciętny mieszkaniec Warszawy, który umie patrzeć, pamiętać i niektóre fakty ze sobą zestawiać, może opowiedzieć wiele. Byłoby tedy zbytecznym z mej strony wysiłkiem wdawać się w zbyt drobiazgowe i szczegółowe opisy czasów, które przeżyliśmy w tak silnem napięciu naszych uczuć. Ograniczyć mi się wypadnie przedewszystkim do uwypuklenia najbardziej zasadniczych, najbardziej osobistych wrażeń i refleksyi — ujętych w tę formę, jaka ze względu na warunki naszego dzisiejszego życia jedynie jest możliwa. Uważny czytelnik znajdzie tu wiele rzeczy niedopowiedzianych lub nawet zupełnie pominiętych, wiele pozornie jednostronnie oświetlonych. Wynika to i z charakteru wspomnień urywczych, zbyt bliskich wrażeniom przeżywanym,—jednocześnie przyczyną będą i owe, wyżej wspomniane warunki. W żadnym jednak wypadku nie należy tłumaczyć sobie czegokolwiek jakąś szczególną oryentacją, bo tej nigdy nie posiadałem i wogóle uważam to pojęcie za wynalazek umysłów bezkrytycznych, nie umiejących ujmować samodzielnie faktów rzeczywistych i oceniać je zgodnie z głębszemi potrzebami narodu.

We wspomnieniach moich, które ukazywać się będą i w dalszych zeszytach niniejszego wydawnictwa, nie starałem się również tworzyć jakichś zwartych całości, nie próbowałem nigdy przeprowadzać od początku do końca jakiejś myśli zasadniczej. Niema tu nic więcej ponad wrażenia i to wrażenia zupełnie nieraz luźne, nieskoordynowane ze sobą i różnolite pod każdym względem. Wydaje mi się jednak, że taka tylko zostaje drogą, skoro pracę swoją pojmuje się jako gromadzenie materjałów dla tych, którzy w przyszłości będą usiłowali ogarnąć całość olbrzymiego zjawiska. Myśmy widzieli tylko ułamki. I taki też musi być, przynajmniej na razie charakter wszystkich aktualnych wydawnictw.

. . . .

Ażeby zrozumieć dokładnie, w należytym związku i następstwie nastrój Warszawy oraz jej położenie strategiczne podczas pierwszej ofensywy niemiec-

kiej na całym froncie wschodnim, należy choć w krótkim zarysie uprzytomnić sobie to wszystko, co działo się przedtem. Jest to ważnem także i dlatego, że właśnie wtedy, kiedy wojska niemieckie zbliżyły się do stolicy Polski na odległość wiorst kilku zaledwie, Warszawa wśród pozornego chaosu i rozprężenia poczęła znajdować własną drogę...

Ze wszystkich miast w Europie, które miały być objęte zawieruchą walki, Warszawa, może najmniej w wojnę wierzyła, najmniej do jej ewentualności wszelkich przygotowaną była, najmniej ją przewidzieć i z góry przemyśleć umiała. Wszakże już wtedy, kiedy od rozpoczęcia zatargu austryacko-serbskiego ciężkie chmury wtaczały się zwolna na horyzont dziejów, lekkomyślni Warszawiacy, pełni beztroskiej pogody wewnętrznej wyjeżdżali na letnie wywczasy. Któż u nas nie uważał wówczas za święty swój obowiązek, aby wszystkich wątpiących uspakajać i pocieszać?

Dlatego zapewne ta wojna była dla nas zjawiskiem najzupełniej niespodziewanem.

Dlatego przyniosła ze sobą tyle zagadek, tyle wrażeń nieprzewidzianych i tyle straszliwych powikłań, chociaż prawie to wszystko, cośmy przeżyli jako najboleśniejszą tragedję narodu «na trzy części rozszarpanego» było niczem więcej jak tylko logicznem i koniecznem następstwem warunków, w których naród polski od lat stu z górą sie znajdował— było poprostu nieubłaganą konsekwencją naszego bytu porozbiorowego.

Warszawa nie wierzyła w wojnę — nie zanotowała sobie w pamięci nawet tego, że jeszcze niedawno na granicy austryacko-rosyjskiej stały gotowe do walki pułki austryackie i legiony galicyjskie. Nie wierzyła w wojnę, chociaż dla każdego, kto baczniej obserwował historyę lat ostatnich widocznem było, że militaryzm pruski doszedł do takiego stanu napięcia, które nie może już znaleść innego rozwiązania prócz... wybuchu.

I nawet wtedy, kiedy telegramy doniosły oficyalnie o wypowiedzeniu wojny przez Austryę Serbii, u nas pocieszano się wzajemnie:

— To jest tylko lokalny zatarg, wojna europejska byłaby w czasach dzisiejszych zjawiskiem tak potwornem, że zatarg ten musi być za wszelką cenę zlokalizowany.

Tego samego dnia jeszcze inny nastrój ogarnął Warszawę.

Po dniu pogodnym, upalnym, przesyconym spiekotą słoneczną, nadciągnął wieczór pochmurny, bezgwiezdny i ponury. Mocny wiatr zaszumiał nagle pomiędzy gałęziami drzew ogrodowych, uderzył ze wściekłością o mury kamienic, wstrząsnął oknami, dźwięczał po szybach i bawił się migotaniem świa-

teł ulicznych. Nieprzenikliwy płaszcz ciemności opuścił się na całe miasto. Ludzie, którzy wyszli na spacer i zapełnili ogródkowe kawiarnie uciekali pośpiesznie do domów, zaniepokojeni pierwszym pomrukiem nadciągającej burzy. Wtem jakby na umówiony znak lunął potokami rzęsisty deszcz i łoskot pierwszego piorunu rozdarł powietrze. Tak przeszła długa chwila. Pioruny uderzały coraz częściej. Stałem wtedy razem z innymi wtłoczony w ciżbę ludzi pod werandą kawiarni nadświdrzańskiej na rogu Nowego Świata i Aleji Jerozolimskiej. Przy każdej błyskawicy przypominał mi się mimowoli początek epopei Sienkiewiczowskiej. Wtem jakiś odgłos charakterystyczny, nigdy nie słyszany przedarł się pomiędzy chlupotaniem strug deszczu i dostał się do naszych uszu. Oto rósł ciągle jakiś turkot potężny, docierał coraz bliżej szczęk żelaza i rześkie dudnienie kopyt końskich. Tłum się zakołysał, wstrzymując oddech w piersiach. Wreszcie jakaś masa bezkształtna przeleciała przed nami w migotliwem świetle latarni pomiędzy czarnemi girlandami liści i skręciwszy prosto w Aleję Jerozolimską, zadudniła po kamiennym bruku gwałtownie, ciężko — zachrzęściła śpiżem i żelazem. Z pod kopyt końskich sypnął się snop iskier, ciemna postać żołnierza pochyliła się naprzód, zadygotały łańcuchy, konie, jakby przerażone tym nagłym ruchem, szybko pomknęły naprzód i ukazały naszym oczom spiżową, w świetle błyskawic i lamp ulicznych migocącą lawetę armaty.

— Armaty, armaty... wojna naprawdę — szepnął ktoś przy mnie, zdumiony niespodziewanem zjawiskiem.

Kilka pułków artylerji przejechało przed nami. Najpierw działa z jaszczykami, potem tabory, powózki, obozy i oddziały sanitarne. Czasami poświst wichru głuszył na chwilę wszystko, potem słychać było znowu miarowy, bezustanny turkot wielkich kół.

Takiem było pierwsze zjawisko wojny, jakie zobaczyła Warszawa. Od tej chwili wojna stała się czemś rzeczywistem, dotykalnem. . . . .

. . . .

Komuż ta pierwsza noc pełna tajemniczej niepewności, potężna jak zjawisko żywiołów nie napełniła serca lękiem i najśmielszą nadzieją zarazem.

— Niech żyje wojna, bo ona przerwała ten mur cmentarny, który nas otaczał — pisał w jakiś czas potem pod wrażeniem tych pierwszych chwil Wincenty Rzymowski.

Wtedy jeszcze nie istniały żadne orjentacje, spojrzenie w mglistą niepewną przyszłość podniecało wszystkie umysły. Mimowoli wierzyliśmy wszyscy, że Polska, że Warszawa musi znaleźć pole do czynów wyjątkowych, samorzutnych. . . . .

Ale to były odruchy, niestety odruchy, pozbawione wszelkiego związku z najbliższą dotykalną rzeczywistością.

Warszawa, jak to już poprzednio podkreśliłem, była najzupełniej nieprzygotowana do możliwości wojny. Dlatego zapewne nie mogło wyłonić się odrazu i utrwalić jakieś jednolite stanowisko społeczeństwa, dlatego nie można było myśleć chociażby o jakiejś twardej, konsekwentnej taktyce działania biernego, o dobrze umotywowanej, logicznej powściągliwości. Cały ten pierwszy okres nastrojów warszawskich jest niczem innem, jak tylko szeregiem instyktownych odruchów, szamotań wewnętrznych, usiłowań nieporadnych, chęci częstokroć sprzecznych. Wszystkie partje polityczne pozbawione swoich przywódców, którzy po największej części przebywali wówczas za granicą, nie wiedziały co począć. Zwłaszcza partye konserwatywne tkwiły w zupełnym bezruchu, opuszczając żałośnie ręce, do żadnego działania niezdolne.

Niektóre tylko stronnictwa radykalne z wielkim hałasem przystąpiły do narad zasadniczych, próbowały złączyć się w jedno wspólne zrzeszenie, usiłowały przyciągnąć do siebie za wszelką cenę nawet najmniejsze grupki polityczne, których w przeciągu pierwszych tygodni wojny potworzyło się bez liku pod najrozmaitszemi, szumnemi nazwami.

W końcu usiłowania owe skończyły się na niczem więcej, jak tylko — sporach nad terminologją partyjną.

To wszystko, co nam niejednokrotnie poczytywano za lisią przebiegłość i chytrą powściągliwość było bezradnością, brakiem wyrobienia politycznego i solidarności narodowej. Dochodziło już nawet do tego, że partye polityczne o zupełnie wrogich tendencyach, partye, które za chwilę miały zwalczać się namiętnie, zapytywały się wzajemnie przez posłów, dyskretnie ale wyraźnie:

«Co robić?»

I nie pochodziło to bynajmniej ze szlachetnej dążności zespalania się, cementowania Ojczyzny rozbitej na kawałki — ale była to prosta bezradność ludzi, którzy czuli, że coś robić trzeba, ale nic zrobić nie umieli. Jedni chronicznie do czynu niezdolni, drudzy w tej właśnie chwili opuszczeni przez swoich przywódców, którym zwykli byli ufać ślepo, i bezkrytycznie.

To było powodem, że pierwsza tak zwana «oryentacya» nie przyszła z góry, tylko z dołu i to w tak intersywnej formie, że narzucona żywiołowo przez tłum zapłodniła na długo umysły wielu polityków i publicystów, dla których stała się jedynem i rzeczywistem źródłem natchnienia, nicią przewodnią w labiryncie rozmyślań nad bytem narodowym. I jeszcze dotychczas żaden z umysłów w tak szczególny spo-

sób «zapylonych» nie chce zrozumieć, że cała jego działalność jest niczem więcej, jak tylko literacką parodyą tego, co było słusznem i sprawiedliwem tylko jako odruch instyktu zbiorowego.

A stało się to natychmiast po pierwszej mobilizacyi.

Pamiętam na Pradze pierwsze szeregi rezerwistów wyruszających na pole bitwy w otoczeniu matek sióstr, braci, żon i dzieci. Pamiętam te zapłakane kobiety z dziećmi, które biegły długo za wojskiem i machały rozpaczliwie chusteczką łzami zroszoną, chociaż już nikt na nie nie patrzył. Pamiętam na Krakowskiem Przedmieściu tłumy proletarjatu żydowskiego, kobiety w czepcach siedzące długim szeregiem na trotuarze i czekające na rezerwistów żydowskich, których wyprowadzano pod bagnetami z gmachu uniwersyteckiego.

Czyniło to wszystko wrażenie niesłychanie przygnębiające. Aż wreszcie jednego dnia wszystko się zmieniło. Znikł bezpowrotnie smutek ze wszystkich twarzy. Przechodziły pułki piechoty roześmiane, wesołe, a tłumy otaczające je dokoła wołały:

— Bić niemca!

Wznoszono okrzyki, wytworni panowie i piękne panie patrzyły na to widowisko z początku jakby z lekką powściągliwością, ale potem zapał tłumu porwał ich za sobą. Wymachiwali rękoma wołali tak samo jak inni. Potem zaczęły się nawet owacje kwiatowe. Obrzucano pękami kwiatów nietylko polskich rezerwistów i oficerów, ale wszystko, cokolwiek przeciągało ulicami. Niejednokrotnie przedmiotem owacji stawali się i kozacy, «nasi dzielni kozacy», których Niemcy tak bardzo się boją.

Orjentacja antyniemiecka wyrosła jak z pod ziemi.

A była ona naturalnym odruchem ludzi, którzy nie mogli iść na śmierć z gorzkim uśmiechem ironji, była odruchem tłumu, który nie chciał patrzeć obojętnie na swoich braci, wyruszających na krwawe zapasy. Każdy tłum pożąda zapału, każdy tłum nie może być obojętnym, dopóki zły los nie osmaga go batem do krwi. I wtedy także tłum chciał wołać, wznosić gromkie okrzyki, podniecać siebie i tych, którzy szli obok z karabinem w ręku.

Ztąd wyrósł powszechny u nas w tej wojnie antygermanizn. Wzmogły się wspomnienia o Wrześni, rugach pruskich, hakatystach... przesłoniły wszystko inne i stały się . . . . . . punktem wyjścia do wszystkich nastrojów, które przeżywała Warszawa. Katastrofa kaliska wzmogła te wszystkie uczucia, stworzyła dla nich grunt realny w samej teraźniejszości. Nie było pomiędzy nami nikogo, kimby nie wstrząsnęła do głębi. Jęki ofiar mordowanych przez Preuskera przejmowały grozą i dziwne budziły myśli. Po raz to pierwszy może jednostronność kultury, jej

materjalizm spotkał się z tak żywiołowem potępieniem tłumów. Zanim jeszcze wybuchła wojna pełno było pomiędzy nami cichego podziwu dla kultury niemieckiej. Ileż to razy słyszało się najrozumniejszych nawet ludzi, rozprawiających z entuzjazmem o bajecznej punktualności niemieckiej, o wzorowym porządku na kolejach, pocztach i wszystkich urzędach. Systematyczność niemiecka, dochodząca niejednokrotnie do widocznych absurdów, ukrywająca w wielu wypadkach za swoją żelazną obręczą brak wszelkiej istotnej treści budziła u wielu bezkrytyczny szacunek. . . . .

. . . .

I jeśli rzec można, w kilkanaście dni po wybuchu wojny, wszyscy zajęli stanowisko odrębne, biegunowo przeciwne, to należy stwierdzić, że inicjatywa tego przeobrażenia wyszła od tłumów i narzuconą została żywiołową siłą całemu społeczeństwu. Katastrofa kaliska znalazła grunt zdawna przygotowany, przechyliła najoporniejsze umysły. Dla nikogo nie ulegało już żadnej wątpliwości, że kultura niemiecka zdarła maskę właśnie w tym kraju, który miał doświadczyć jej dobrodziejstw,

. . . .

Ręka, która miała «głaskać», zaczęła zadawać ciosy brutalne. . . . .

. . . .

Niemal w tym samym czasie, kiedy lotnicy niemieccy rozrzucali odezwy, wzywające naród polski do powstania, major Preusker mordował bezbronnych mieszkańców Kalisza. Cóż to miało znaczyć? W istocie Niemcy daleko mniej wierzyły w rewolucję w Królestwie Polskiem, aniżeli niektóre sfery petrogradzkie, dla których Warszawa pozostała wieczną buntownicą. Niemcy nie czuły się nigdy na siłach do wywołania zbrojnego powstania w Królestwie Polskiem, było już z góry przesądzonem, że tego zadania miał dokonać najbliższy sprzymierzeniec przy pomocy Polaków galicyjskich. . . . .

Wszystko, co tylko uczyniły Niemcy w tym kierunku było dźwiękiem fałszywym, nieznośną, obrażającą nas kakofonią. Historja nie notowała jeszcze odezw tak niedołężnie napisanych, jak te, w których do narodu polskiego przemawiał «wódca» okupacyjnej armji niemieckiej. Prusy miały w zanadrzu środek daleko pewniejszy od wszelkich odezw. A była nim bezwzględność środków, posuniętych w razie potrzeby aż do okrucieństwa. Był to system obmyślony, z góry, umiłowany, leżący jak dojrzałe ziarno w psychice narodu. I to nas skłania do przypuszczenia, że Niemcy od samego początku wojny lekceważyły sprawę polską—liczyły tylko na siebie. Odezwy wzywające do powstania, były jedynie aktem niezręcznej kurtuazji wobec Galicji i Austrji. Rozpowszechnienie telegramów donoszących o rewolucji

w Warszawie, było usypianiem opinji publicznej, dodawanie ducha niemieckim filistrom i taką samą niedorzecznością, co i wypowiedzenie wojny przez Japonję Rosji, zajęcie Finlandji przez Szwecję.

Do końca wojny Niemcy utrzymywały się w stylu wobec sprawy polskiej. Nawet wtedy, kiedy los zdawał się im uśmiechać, kiedy już tak blizko były Warszawy i kiedy jej tak gorąco pragnęły, nie utraciły nic ze swej brutalnej szczerości. I gdyby nawet przyjąć za rzeczywistość, że rząd niemiecki po rozbiciu Austrji w najbliższej nam fazie wojny miał bezwzględny zamiar proklamowania w Warszawie niepodległej Polski, to byłby to raczej strategiczny manewr generała Hindenburga, a nie fakt o znaczeniu politycznem. W samym początku jednak wojny Niemcy pozostawiły wszelką polityczną misję w sprawie polskiej Austrji, która w tym celu organizowała już oddawna legiony galicyjskie. Te ostatnie rozpoczęły swoją działalność przekroczywszy granicę w gubernji kieleckiej i miały ją prowadzić spokojnie podczas natarcia głównych wojsk austrjackich w kierunku Dniepru.

Stało się jednak inaczej — co i na sprawę polską w wojnie obecnej doniosłe wywarło znaczenie.

Ofensywa generała rosyjskiego Rennenkampfa, pierwsze bitwy pod Stołupianami i Gąbinem wywarły niepospolity skutek na początek całej kampanji wschodniej. Niemcy zajęte na zachodzie swoją ofensywą na Francję, gdzie skupiły prawie wszyskie swe siły, nie mogły . . . . . . przeciwstawić się natarciu wojsk rosyjskich w Prusach wschodnich—zażądały natomiast od Austrji zmiany planu zasadniczego, dawno już obmyślonego przez generała Auffenberga i przeprowadzenia ofensywy w Lubelskiem.

Tak się też i stało. W ostatnich dniach sierpnia armia austryjacka, która miała posunąć się w kierunku Dniepru, przekroczyła granicę Królestwa Polskiego w ziemi lubelskiej. Ten nieoczekiwany zwrot wojny wywołał wielkie wrażenie w Warszawie i w całem Królestwie Polskiem . . . .

Tymczasem jednak wypadki wojenne szybko postępowały naprzód. Z jednej strony armia austryjacka spotkała się z silnym oporem w Lubelskiem, z drugiej strony generał Ruzski poprowadził gwałtowną ofensywę w kierunku Lwowa, rozbijając w puch 200 bataljonów, które stanowiły zasłonę. W początkach września Lwów został zajęty, armia generała Ruzskiego zajmując Rawę Ruską, wzięła w dwa ognie siły austryjackie w Lubelszczyźnie, które cofnęły się wreszcie szybko, w niektórych miejscach bezładnie.

Po tym okresie wojny zaczęły nadpływać do Warszawy pierwsze wiadomości o kilkutygodniowem panowaniu austryjackiem w Lubelszczyźnie południowej.

Wiadomości te były dziwne i nieoczekiwane. Natychmiast po ustąpieniu wojsk austrjackich, zwiedzałem szczegółowo Lubelszczyznę i badałem wszystko, co tylko odnosiło się do ich pobytu. Dziwny fatalizm losu, wybujała megalomanja, zupełne lekceważenie narodu i społeczeństwa . . . . oto niezaprzeczone cechy charakterystyczne, które wyłoniły się z powodzi opowiadań, wspomnień, anegdot, dokumentów i faktów niewątpliwych.

Armja austrjacka w sposób zdecydowany posunęła się w granice Lubelszczyzny południowej w ostatnich dniach sierpnia. Poprzedziły ją manewrujące oddziały rosyjskie, skąd poszła glorja oręża austrjackiego rozdmuchana do najwyższych granic przez komunikaty sztabu austrjackiego. Nikt nie brał pod uwagę tego, że wojska rosyjskie, walczące po raz drugi pod Kraśnikiem, były jedynie zasłoną, która nie chciała się mierzyć z daleko liczniejszym przeciwnikiem. Rozstrzygające starcie mogło nastąpić dopiero po skoncentrowaniu przez Rosję sił odpowiednich. Na skutek tego w niektórych punktach armja austrjacka znalazła się zaledwie o dwadzieścia kilka wiorst od Lublina.

Któż wtedy wątpił w armji austrjackiej o zwycięstwie? Krążyły po niej anegdotki o intendenturze rosyjskiej, o artylerji, która zazwyczaj ma działa i pociski innego kalibru — opowiadano sobie o szrapnelach piaskiem nabitych, o ciemnocie żołnierza rosyjskiego i karabinach, które nikomu szkody przynieść nie mogą. I oto całe wojsko, od prostego żołnierza począwszy, a na generale sztabowym skończywszy, popadło w stan najniebezpieczniejszej megalomanji, lekceważenia przeciwnika ad absurdum.

Cóż może być bardziej groźnego dla ducha armji, jeśli ta armja przyzwyczajona do pogardzania nieprzyjacielem, spotyka się niespodziewanie z oporem silnym, zdecydowanym, jeśli zamiast bezładu, widzi plan, wykonany rozumnie, jeśli szrapnele, pozornie piaskiem nabite, szerzą straszliwe spustoszenia w okopach piechoty, demontują działa artyleryjskie i jaszczyki, jeśli w odpowiedniej chwili wyrastają jak z pod ziemi karabiny maszynowe, które miały przecież razem z cytadelą warszawską wylecieć w powietrze? Mamy już za sobą doświadczenia wojny francusko-niemieckiej z r. 1871-go, mamy i doświadczenia dawniejsze, które nie przestały być do dziś obowiązującemi. W większości podobnych wypadków przeciwnik lekceważony nietylko zwycięża, ale urasta do rozmiarów widma straszliwego, wywołuje popłoch i panikę często już niczem nieuzasadnioną.

To samo stało się z armją austrjacką w Lubelszczyźnie: Była ona poprostu zaskoczona, zadziwiona w najwyższym stopniu najprostszymi i najzwyklejszymi wypadkami tej wojny. Wszakże oficerowie

austrjaccy obiecywali sobie wejście do Lublina jako jeden marsz tryumfalny. Aeroplany austrjackie, unoszące się nad tem miastem, rozrzucały odezwy, w których proszono mieszkańców, aby zamówili dla nich we wszystkich kościołach uroczyste nabożeństwo dziękczynne, które miało się odbyć nazajutrz z powodu zwycięskiego wkroczenia wojsk austrjackich.

Nieoczekiwany opór Rosji doprowadził armję austrjacką do paroksyzmu wściekłości. Niepowodzenia tłómaczono przypuszczeniem, że wojsko jest otoczone szpiegami, którzy ukrywają się pomiędzy miejscową ludnością. Celność strzałów artylerji rosyjskiej miała mieć swoje źródło w olbrzymiej, podziemnej sieci telefonicznej, zapomocą której, poprzebierani oficerowie rosyjscy, mieli donosić swoim baterjom, gdzie się koncentrują wojska. Stałość pozycji piechoty rosyjskiej pochodziła z tego, że miała ona podobno okopy betonowe.

Ciągle nam mówili o tych okopach betonowych — opowiadali mi potem obywatele — oficerowie austrjaccy przychodzili do nas rozżaleni, pytając się dlaczego właściwie nie powiedzieliśmy im nic o tem, że Rosjanie jeszcze na długo przed wojną ufortyfikowali się, czyniąc swoje pozycje niemożliwemi do zdobycia. Te przypuszczenia, które były jakimś dziwacznym odruchem zawiedzionych apetytów, nie miały w sobie nawet jednego ziarna prawdy.

Oglądaliśmy potem te «niezwyciężone fortyfikacje». Były to najzwyklejsze okopy ziemne, mało różniące się od austrjackich. Można nawet powiedzieć, że Rosjanie, którzy niebawem przeszli do ataku, nie mieli na to nigdy dość czasu, aby okopywać się tak starannie, jak lękliwi Austrjacy . . . .

Austrjacy uczynili technicznie wszystko, aby być niezwyciężonymi — zapomnieli tylko o tem, że w tych misternych okopach trzeba było mieć jeszcze armję jednolitą, ożywioną duchem wytrwałości, przygotowaną na wszelkie przeciwności losu i nie popadającą w zdumienie, gdy przeciwnik zamiast cofnąć się, atakuje i strzela pociskami, które zabijają.

Po zdumieniu, wywołanem przez niespodziewany opór, przyszła kolej na paroksyzm wściekłości. Powiedziano sobie: przyczyną naszych niepowodzeń są szpiegowie. I oto zaczęto tych szpiegów szukać.

Rozpoczęły się aresztowania ludzi najniewinniejszych, Bogu ducha winnych. Posiadanie w domu telefonu, który już dawno został wyłączony, było dostatecznym powodem, aby danego osobnika postawić przed sądem.

Zaprawieni w bezmyślnych okrucieństwach honwedzi węgierscy, którym w historji tej wojny należy się osobna karta, szukali tych szpiegów ze szczególnem zamiłowaniem.

Rozstrzeliwano wielu bez sądu, bez najmniej-

szych nawet indagacji. W szpitalach lubelskich znajduje się wielu chłopów, którzy padli ofiarą tego kursu. Przetrząsano doły, w których kryła się ludność miejscowa przed szrapnelami i kulami karabinowemi. I jeśli tam znaleziono człowieka z krótko ostrzyżoną głową, rozstrzeliwano go natychmiast. W tym samym czasie honwedzi węgierscy na długo jeszcze przed cofaniem się wojsk austrjackich podpalali całe wsie pod pozorem, że z tych wsi właśnie strzelano do przechodzącego wojska. Liczni świadkowie zeznali, że żołnierze węgierscy podpalali własnoręcznie zapomocą nafty co czwartą chałupę. Do uciekających chłopów strzelano, nikomu nie pozwalano ratować swego mienia. Zostawali przy życiu ci tylko, którym udało się uciec chyłkiem, albo którzy, rzucając się na kolana, błagali o życie. We wsi Piotrkowie mordowano i więziono chłopów tylko za to, że nosili spodnie z czerwonymi lampasami, wyrzucane za buty.

Powiedziano o nich poprostu:

— To są szpiegowie kozaccy!

Nie zapominali honwedzi przy tej akcji antyszpiegowskiej i o . . . . Widziano ich pułki, przechodzące razem z uprowadzonemi dziewczętami. Znajdowano po ich przejściu spalone sterty ze zwęglonemi ciałami kobiet, walały się w okopach, gdzie walczyły, krasne chustki dziewczęce, sznury korali, fartuchy, spódnice.

. . . .

Zanim jeszcze armja austrjacka postanowiła się cofnąć, zanim zajęcie Lwowa zmusiło ją do zajęcia nowej linji strategicznej, już ta armja była zdemoralizowana i do dalszej walki prawie niezdatna. W tej pierwszej chwili załamania psychicznego, kiedy znikła ostatecznie wyhodowana pewność wojenna—odżyły w armji austrjackiej wszystkie różnice narodowościowe.

Okazało się, że każdy pułk posiada inną orjentację polityczną, inne tendencje i inne zamiary. Pułki niemieckie chciały jeszcze walczyć, pułki słowiańskie pragnęły poddać się czem rychlej, a węgierscy honwedzi bez wielu rozumowań i dociekań zdradzali najsilniejszą tendencję do ucieczki.

Niebawem nastąpił ogólny odwrót.

W tej chwili ostatniej sielanka polsko-austrjacka kończyła się już bezpowrotnie. Pułki austrjackie, odchodzące w stronę granicy galicyjskiej, podpalały wsie całe, folwarki i miasteczka. Łuna pożarów olbrzymich oświecała odwrót ich . . . . Austrjacy nie podpalali wsi i miasteczek tylko tam, gdzie na to nie mieli czasu. W wielu miejscowościach ludzie ukryci po piwnicach, przeżywali nastroje okropnej niepewności, z lękiem słuchali szczęku broni, z przerażeniem dławionem w piersiach patrzyli

na migające w świetle księżycowem, jak widma, sylwety ludzi i koni.

Pobyt armji austrjackiej w Lubelszczyźnie południowej był niespodziewanym zwrotem wojny . . . .
. . . .
Austrjacy w Lubelskiem wykazali niejednokrotnie okrucieństwo bezmyślne . . . .
Prześladowanie księży katolickich, działalność sądów wojennych surowa a często bezmyślna, gwałty honwedów i pułków niemieckich . . . .
oto fakty, który musiały zostawić po sobie w społeczeństwie polskiem nietylko oburzenie i niesmak, ale i poczucie krzywdzącej niespodzianki . . . .

Historja panowania austrjackiego w Lubelszczyźnie południowej miała dla nas miarodajne, decydujące znaczenie. Od tej chwili rozpoczyna się zupełna likwidacja «sympatji austrjackich», która do zupełnego chyli się upadku po nieudałej ofensywie w kierunku Przemyśla, po walkach na linji Warty i Wisły, po bezowocnych wzmaganiach w Karpatach i po zdobyciu największej fortecy austrjackiej. Naród targany straszliwą tragedją wojny, naród który z rozpaczą patrzył na braci mordujących się wzajemnie — nie mógł bawić się w żadne odruchy sentymentalne lub romantyczne. Kierowany znowu instynktownym odruchem zdawał się stanąć po tej stronie, która wydała mu się najsilniejszą, najbardziej blizką zwycięstwa.
. . . .

II.

Po klęskach Austrjaków w Lubelskiem i Galicji, wojska rosyjskie w niedługi czas posunęły się aż do Dębicy. Wtedy to Niemcy, widząc, że ich prawe skrzydło od Szlązka jest mocno zagrożone, stworzyli jeden wielki niemiecko-austrjacki front i uruchomiwszy około 50 korpusów, stanęli na knezebeckowskiej granicy t. j. na linii Wisły i Sanu. Na tej całej olbrzymiej przestrzeni walka skoncentrowała się na trzech najważniejszych punktach, którymi były:

1) Zakręt Sanu.

2) Sandomierz—Kozienice.

3) Kalwarja—Warszawa.

Niemcy uderzali najsilniej na skrzydłach. Na froncie tedy Kalwarja-Warszawa musiała się toczyć walka zacięta. . . . .

W tej wielkiej ofensywie austrjacko-niemieckiej, Niemcy wysunęli się na czoło całej akcji zarówno pod względem politycznym, jak i strategicznym. Armia austrjacka skompromitowana w oczach swoich sprzymierzeńców, staje się powolnem narzędziem w ich ręku, traci zupełnie samodzielność swoją i otoczona pogardą, odgrywą częstokroć rolę napoły tragiczną. Wojska niemieckie, cofając się, niejednokrotnie pozostawiały . . . . całe korpusy austrjackie, które doprowadzone do ostateczności, walczyły nieraz z męstwem straceńców . . . . Gdzieindziej znowu całe pułki poddawały się bez wystrzału, zdemoralizowane, zniechęcone. Niemcy walczyli wszędzie, gdzie tego wymagała sytuacja z . . . . zaciekłością i wiarą w zwycięstwo. — Można powiedzieć, że było to pierwsze wielkie spotkanie armii niemieckiej i rosyjskiej . . . .
. . . .

Obrona Warszawy była tak zwaną «obroną w samą porę». Kiedy już wyjaśniła się ofensywa Niemców, wojska rosyjskie rozmieszczone zostały na całej linii Wisły . . . .
Koncentracja wojsk rosyjskich pod Warszawą odbywała się wtedy w naszych oczach przy potężnym huku armat, które stalowym pierścieniem otoczyły miasto i broniły go tak długo swymi dalekonośnymi pociskami, aż wreszcie pułki gwardji i wy-

borowy żołnierz syberyjski ruszył do ataku. Artylerja, zajeżdżająca prosto ze śródmieścia na pozycje, piechota, obozująca na ulicach, niezliczone sznury powózek, taborów, jaszczyków z amunicją, płynące nieprzerwanym ciągiem — to były obrazy, które budziły niejednokrotnie . . . . niepewność. Dość było nieraz najmniejszego ruchu w stronę Pragi, aby domorośli strategicy, obserwujący wojnę z okien kawiarni, szeptali tajemniczo:

— Cofają się, cofają — za chwilę będą tu już Niemcy...

Dość było, aby kilka wozów z sianem przejechało w stronę przeciwną, a już dawały się słyszeć głosy:

— Wojska rosyjskie najwidoczniej zwyciężają...

Grzmot armat stawał się z dnia na dzień coraz głośniejszy. Zagrały wreszcie basem potężnym ciężkie działa, przewiezione przez Rosjan. . . . . Niektórzy, zbudzeni nad ranem hukiem niezwykłym, sądzili, że to już Niemcy podeszli do samej Warszawy.

Tymczasem skoncentrowane wojska rosyjskie natychmiast uderzyły szeregiem silnych ataków i po uporczywej walce zepchnęły pod Warszawą bagnetami Niemców z takich pozycji, jak Błonie, Rokitno i Piaseczno. O intensywności tych walk niechaj świadczy fakt następujący. W Rokitnie niemcy zajmowali na cmentarzu silną pozycję, zwłaszcza dzięki ukrytym mitraljezom. 300 ludzi z pułkownikiem Różańskim na czele zdobyło wreszcie tę pozycję wstępnym atakiem na bagnety. Obecnie przy cmentarzu znajduje się bratnia mogiła z napisem: Tu leży 274 strzelców syberyjskich i ich pułkownik.

Te ataki zdecydowały... Wojska niemieckie, widząc przewagę nieprzyjaciela, cofnęły się szybko. Wszędzie jednak zostawiano silne zasłony. Napierająca armja rosyjska musiała znowu atakami na bagnety zdobywać: Grójec, Sochaczew, Łowicz, Kutno, Łęczycę, Nowe Miasto...

Przez cały czas tej pierwszj ofensywy na froncie wschodnim, Niemcy wierzyli niezłomnie, że Warszawa musi być zajętą. Wszakże oficerowie niemieccy, wystrojeni w mundury galowe, czekali niecierpliwie na tę chwilę, kiedy będą mogli wreszcie paradować na ulicach Warszawy. Niektórzy z nich, rekwirując zapasy żywności, kazali się zgłaszać za parę dni do warszawskiego Bristolu. Pośpiech, z jakim zajmowali kraj przez armję rosyjską opuszczony, pozwalał im przypuszczać, że i Warszawę zagarną bez trudu. Stało się inaczej... Armja niemiecka musiała cofać się tak szybko, jak szybko następowała. Ale cofając się, myślała już o nowem natarciu. W wielu mogiłach znaleziono zamiast zabitych żołnierzy, mitraljezy, działa i amunicję, pozostawione na najbliższą przyszłość... . . . .

. . . .

W samo południe wyjeżdżaliśmy na pozycje pod Warszawę. Nasz wielki automobil sanitarny, przerobiony ze starego omnibusu, sapał niecierpliwie i klekotał w takt jazdy roztrzęsioną karoserją. Właśnie w tej chwili dwa aeroplany niemieckie unosiły się wysoko nad miastem. Kiedyśmy przejeżdżali przez Saski plac, zalany potokami słońca, jeden z nich krążył nad nami, jak ptak drapieżny, który upatruje zdobyczy. Zdawało się, że lada chwila, jak strzała przeszyje powietrze i z okrzykiem krwiożerczym zatopi ostre szpony w ciele ofiary.

Strzelano do niego. Co chwila gdzieś w pobliżu pękał szrapnel i biały, wełnisty obłoczek wynurzał się powoli w przestrzeni. Jednocześnie tuż ponad naszemi głowami trajkotał niespokojnie, gorączkowo karabin maszynowy. Na ulicach było pusto — tłumy ludzi stały w bramach i przyglądały się niezwykłemu widokowi. Nie było popłochu, ani paniki. Wyglądało to poprostu tak, jakgdyby wszyscy byli zaskoczeni niespodziewaną ulewą. Ot stoją sobie w bezpiecznem miejscu rozbawieni niespodzianką i czekają spokojnie, kiedy wszystko przejdzie. Tylko od czasu do czasu jakiś spóźniony przechodzień umykał pośpiesznie, chroniąc się pod murem. Wreszcie latawiec niemiecki zachwiał się, jak ptak postrzelony i szybko zaczął umykać. Za uciekającym goniły białe obłoki, pragnące opasać go śmiertelnem kołem. Tylko karabin maszynowy urwał w połowie swoją nerwową gamę.

W tej samej chwili puste ulice zaroiły się znowu tłumem wesołym i gwarnym. Gdyby nie miarowy odgłos strzałów armatnich, huczących za miastem, możnaby pomyśleć, że to zwykły jesienny dzień, kiedy słońce uśmiecha się po raz ostatni do ludzi. Nigdy zalotność kobiet nie wydawała się tak powabną, jak wtedy, — nigdy nie było tyle beztroski, tyle lekkomyślnej, uroczej swobody, jak w tym tłumie, który kilka chwil temu zaledwie, chronił swe głowy od bomb niemieckich. Wszystko stapiało się w jednym uśmiechu słońca, w powietrzu czystem i niebie bez chmur. Niczyjego wzroku nie mąciła troska, ani lęk przed przyszłością. Czasami tylko ktoś odwracał głowę w tę stronę, gdzie słychać było głuche dudnienie walki artyleryjskiej i zapewne z przyzwyczajenia pytał:

— Dziś bliżej, czy dalej?

Trudno zapomnieć tę chwilę. To był najwierniejszy nastrój Warszawy podczas ostatnich dni walk. Kilka dni temu wielu mieszkańców gromadnie opuszczało miasto. Najnamiętniejsi publicyści najnamiętniej uciekali, obrzucając na pożegnanie błotem społeczeństwo za to, że miało odwagę zostać i czekać na nieznaną dolę. I kiedy patrzyłem na ten tłum, kipiący życiem, pogardzający niebezpieczeństwem i śmiało

wyzywającym przyszłość — wiedziałem, że jest to tłum ludzi, ... oczyszczonych z frazesów warszawskich, które się ukryły trwożliwie po kątach. Widziałem przed sobą społeczeństwo . . . . . nieufne nawet wobec własnych marzeń . . . . . . ale przez to tem godniejsze życia i nadziei.

I znowu odezwał się niekrępowany niczem instynkt zachowawczy, znowu sięgnął głębiej od tych wszystkich, którym się zdawało, że tworzą samodzielną politykę polską. W tych czasach gorączkowych, niepewnych, kiedy huk armat rozlegał się nad naszemi głowami, naród polski odnalazł swój skarb największy. A było nim... . . . .

Jechaliśmy dalej...

Dopiero koło rogatek wpadliśmy na zator wojska. Z trudem przesuwaliśmy się pomiędzy żołnierzami, wozami i końmi. W jedną i drugą stronę ciągnęła artylerja, a pomiędzy niemi poruszały się długim wężem pułki piechoty, idące na pozycje. Gdzieniegdzie widać było obozujące tabory, posterunki sanitarne, a nawet małe rezewy. Wszędzie snuli się żołnierze, co chwila wynurzały się ich postacie z małych sklepików — stawali gromadkami na rogach ulic i otoczeni setkami ciekawych, opowiadali...

Odgłos strzałów armatnich stawał się coraz wyraźniejszy. Coraz częściej spotykaliśmy ludzi, przysłaniających oczy ręką i patrzących w tamtą stronę. Coraz więcej było twarzy smutnych i niespokojnych. Horyzont powiększał się coraz bardziej, dwa długie łańcuchy podmiejskich domków urwały się nagle i oto widać już było daleką równinę, gdzie huczały strzały, wykwitały bukiety dymu i migotały błyski pożarów. Małe wełniste obłoczki pękających szrapneli snuły się leniwie gromadami po niebie. Nad samą szosą na wale ziemi stała gromada kobiet ubogich, wpatrzonych w mglistą dal. Twarze zastygły w milczeniu, tylko w oczach czaił się lęk i przerażenie.

Koło nas przesuwali się wciąż ludzie, uciekający z całym dobytkiem do Warszawy. Mijały nas wielkie wozy, wyładowane służbą folwarczną, szybko pędziły stada bydła, to znowu widać było karety, powozy dworskie albo chłopskie drabiniarki, gdzie wszystko było razem zmieszane: worki ze zbożem, prosięta, skrzynie malowane, ziemniaki, kapusta, poduszki i dzieci. Na platformach przewożono dobytek letników, których wojna zaskoczyła na wywczasach pod Warszawą. W powietrzu, pełnem zgiełku i jazgotu uciekających, skrzypiały miarowo koła jaszczyków artyleryjskich — strzały armatnie przestały huczeć, zaczęły grzmieć.

Dobrnęliśmy wreszcie do naszego posterunku. Długim szeregiem stały wojskowe samochody sanitarne po jednej stronie drogi, jaszczyki artyleryjskie po drugiej. Dalej na froncie strzelała baterja ciężkich dział. Co kilka minut rozlegał się straszliwy,

suchy trzask, jak stokrotnie wzmożony strzał sztucerowy. Powietrze kołysało się niby wichrem poruszone i grało długo metalicznym dźwiękiem mknącego pocisku.

Zdaleka dochodził nas odgłos lekkiej artylerji, a od czasu do czasu można było nawet słyszeć strzały karabinowe. Na całej linii wrzała intensywna bitwa artyleryjska. Słuchaliśmy jej do wieczora. Zbieranie rannych było niemożliwe. Dopiero z nastaniem pierwszego zmroku pozwolono nam wyprawić się na ochotnika do okopów. Pojechaliśmy w kilku drezynami. Cisza ogarniała pola — od czasu do czasu tylko przerywał ją strzał armatni, natychmiast inne baterje budziły się z uśpienia i jak czujne brytany odpowiadały krótkiem, nerwowem szczęknięciem.

Pewną część drogi musieliśmy przejść pieszo. Szliśmy, potykając się od czasu do czasu o wystrzelone szrapnele, grzęźliśmy w dołach, wywierconych przez granaty. Świeciły nam coraz wyraźniej łuny—pociski pękały od czasu do czasu, jak ogniste rakiety. Poraz pierwszy posłyszałem straszliwy wizgot szrapnelu, przeszywającego powietrze ponad głową. Dostaliśmy się do okopów sami nie wiedząc kiedy. Nagle wyrosła przed nami postać żołnierza i zastawiając się bagnetem, zawołał:

— Kto idiot?

— Sanitary — odpowiedział nasz przewodnik.

— Nu charaszo...

Okazało się, że rannych jest niewielu. Wyszukaliśmy zaledwie kilku i zabraliśmy na nosze. Czysta pościel zabarwiła się kwią świeżą, czerwoną. Żaden z ranionych nie mógł iść o własnej sile. Krzepcy, potężnie zbudowani żołnierze słaniali się na nogach, jak małe dzieci. Jednego z nich trzeba było natychmiast opatrzyć. Był raniony w głowę, z której płynęło tyle krwi, że trzeba mu było obwiązać całą czaszkę i twarz. Niosłem go i patrzyłem z przerażeniem na krwawą maskę. Wracaliśmy w milczeniu, a od czasu do czasu wymachiwał rękoma i rzucał się niespokojnie, mamrocząc jakieś niezrozumiałe słowa. Inny, którego nieśli moi towarzysze, śpiewał chrapliwym głosem jakąś monotonną dumkę ukraińską. Na polach, zastygłych w milczeniu straszliwem, milczeniu przed burzą, ta piosnka rannego, podobna była do wycia upiora.

Ktoś zwrócił się do niego łamanym rosyjskim językiem:

— Ziemlak, nie piej!

Ale on śpiewał dalej.

Wreszcie doszliśmy do naszych «drezyn». Odrazu zrobiło się nam weselej. Szyny kolejowe, błyszczące w ciemnościach, jak nić przewodnia w labiryncie, wydały nam się zbawieniem.

Ułożyliśmy rannych na dwóch drezynach i nerwowo zaczęliśmy poruszać dyszlem. Zdawało się, że już niebezpieczeństwo minęło, ktoś nawet zaczął dzielić się wrażeniami z wycieczki, jakby uważał ją za skończoną. Wtem od strony okopów niemieckich buchnęła niespodziewanie w górę ognista rakieta. Powódź białego światła zalała całą przestrzeń—tajemniczy mrok nocy uciekł od nas daleko.

Było tak jasno, że zobaczyliśmy nasze przerażone twarze, powleczone trupią bladością. Zmartwieliśmy na chwilę, aby potem rzucić się ze zdwojoną energią do ucieczki. Wszyscy pracowali z zaciętemi zębami, nic nie mówiąc. Tylko żołnierz, ranny w głowę, wybuchał szalonym śmiechem . . . Po chwili światło zgasło, ale jednocześnie usłyszeliśmy najpierw huk armat, potem szalony, złowieszczy świst szrapnela.—Nikt nic nie mówił, ale każdy czuł, że wszyscy w tej chwili czekamy na śmierć. Uderzył wreszcie gdzieś niedaleko od nas, w ciemności widzieliśmy olbrzymi słup ziemi, wylatującej w powietrze. Piasek zasypał nam oczy tumanem. Drugi i trzeci szrapnel pękł już daleko za nami. Miejsce, gdzieśmy się znajdowali przed chwilą, było miejscem śmierci. Obejrzeliśmy się za siebie. Czerwona łuna zachodzącego słońca jeszcze nie zgasła. I zdawało się, że to w jej wnętrzu, na chmurach, przesyconych krwawem światłem, jakieś tajemnicze wulkany huczą i grzmią rozwścieklone. — Zdawało się, że to jest walka konającego światła z mrokiem, ogarniającym świat cały. Lecz światło gasło tylko zły, głuchy pomruk płynął ku nam ztamtąd. Cisza ogarniała wszystko...

Kiedyśmy wracali do miasta, wioząc rannych, już armaty przestały strzelać. Drogą nikt nie jechał—tylko od czasu do czasu spotykaliśmy artylerzystów, śpiących na ziemi, koło armat. Tu i owdzie płonęły ogniska, w ich świetle rysowały się spokojne twarze żołnierzy. Mijaliśmy potem przedmieścia głuche, milczące, opuszczone przez całą ludność.

Dopiero za rogatkami ujrzeliśmy znowu Warszawę, zalaną potokami światła, pełną życia, gwaru i wesołości... Ranni dźwigali się na pościeli i patrzyli szeroko otwartemi oczyma na to dziwne, niezrozumiałe dla nich widowisko.... . . . .

III.

Natychmiast po odstąpieniu Niemców od Warszawy, wyruszyłem śladem ich odwrotu.

Po dwudziestu godzinach męczącej jazdy, po długich postojach w polu i na małych stacyjkach, dobrnęliśmy wreszcie pod sam zachód słońca do Skierniewic. Zniszczenie, które tu oglądaliśmy na dworcu i na stacyi kolejowej, przeszło nasze oczekiwania mimo świeżych wrażeń z podmiejskich okolic Warszawy. Mosty wysadzone w powietrze, potworne bryły cementu odrzucone na bok, szyny poskręcane w spiralne wstążki, zgliszcza magazynów i budynków, pogruchotane zwrotnice, olbrzymie kadzie wodociągu, leżące na kupie gruzów dnem do góry, rusztowania żelazne potargane i zdaleka podobne do skrzydeł jakichś apokaliptycznych bestji, a pomiędzy tem wszystkiem rude popieliska i żarzące się jeszcze kupy węgli—to wszystko składało się na obraz, pełen ponurej, żywiołowej siły. Co tylko jest w mocy niszczenia zostało tu dokonane z zadziwiającą systematycznością, z zastosowaniem wszystkich środków nowoczesnej techniki.

A obok leżało miasto, jakby nawpół umarłe, bez świateł i ludzi, pełne głuchego milczenia, które przerywała czasami trąmbka automobilowa albo odgłos kopyt końskich. W hotelu było zimno i ciemno — z trudnością zdobyłem dla siebie mały pokoik, łojową świeczkę, poduszkę i starą dziurawą kołdrę. — W nocy zbudziło mnie kołatanie do drzwi. Wyjrzałem. Jakaś rodzina, wędrująca końmi z Łodzi, błagała o nocleg. Nigdzie już nie było miejsca — nawet w sali bilardowej nocowało kilka osób. Rad nierad podzieliłem się swojem miejscem. Odstąpiłem swoje łóżko kobietom, a sam przepędziłem noc na krześle. Obok mnie w kącie na płaszczach i derkach spało kilkoro małych dzieci. Słyszałem ciągle ich oddech krótki, niespokojny, gorączkowy. Od czasu do czasu zrywały się ze snu z płaczem i wymachiwały rączętami, jakgdyby odpędzały od siebie złe widma.

Tak minęła noc. Nad ranem wyjechałem najętą «ekstrapocztą» w stronę Rawy. Jechałem tą samą drogą, którędy przed kilku dniami cofała się armja niemiecka.

Dwie olbrzymie fale ludzi, armat i wozów przepłynęły już dawno tędy — przepłynęły wszystkiemi drogami, jakby łożyskami rzek potężnych. — Z początku wlókł się jeszcze za niemi daleki, ponuro brzmiący grzmot dział, potem i to ucichło.

Pierwszy goniec zimy, zwiastun śniegów i lodów, przejmujący jak tchnienie śmierci, wiatr listopadowy hula po pustych drogach. Nastała cisza, martwota i bezruch. Przyszło wyczerpanie sił, apatja bezwzględna, czasami nawet wzgardliwa nieciekawość dla wszystkiego, co się tam dzieje gdzieś na świecie.

— Oby tylko nie wrócili—słyszy się od czasu do czasu.

Wszystkie objawy życia: smutki, radości, rozkosze, cierpienia, wszystkie zwycięskie i rozpaczliwe zmagania się z losem, przemieniły się w jeden odruch instynktu samozachowawczego, w najprymitywniejszy sposób bytowania. Pola są puste, wsie martwe, dwory wyludnione, a miasteczka czynią wrażenie żywych trupów, w których duch życia ledwo się kołacze. Na ulicach przechodnie mają twarze obojętne, zmęczone i apatyczne — rozmawiają nawet niezbyt chętnie. A jeśli mówią, mówią o swoich kłopotach, o szarych codziennych kłopotach, które fala wojny zostawiła po sobie, jak miliony trujących pasorzytów.

Komunikacji niema prawie żadnej — kto może i ma za co, najmuje sobie jakiś wehikuł i jedzie do Warszawy, aby «wyprostować kości». Gazety zjawiają się nader rzadko, w okolicach bardziej odległych trzeba kupować je prawie na wagę złota. Wszystkie te miasteczka, wsie i osady są jeszcze teraz tak zupełnie odcięte od świata, jak to było podczas zajęcia ich przez wojska niemieckie. Wtedy to w sytuacji wojennej orjentowano się z lotu ptaków, a najcenniejszym informatorem był chłop, wracający z podwody, który zaciągnięty gdzieś w bezpieczne miejsce, opowiadał szeptem, «że niemcy widać dostali po grzbiecie w samym sękocińskim lesie». Ileż wahań tragicznych, ileż niepewności i złowieszczych przypuszczeń przeżywały te biedne miasteczka, osady i dwory, odcięte od reszty kraju, pozbawione wiadomości nawet z gazet niemieckich, których stale odmawiali żołnierze i oficerowie niemieccy. Nikt nie był pewny do ostatniej chwili, że armja niemiecka odchodzi. Dopiero wtedy, kiedy na rynku małomiasteczkowym zjawiło się wojsko rosyjskie, idące pomiędzy domami do ataku z bagnetem w ręku—uwierzono.

Rekwizycja niemiecka i wojna wogóle doprowadziła tu wszystkich do stanu najzupełniejszego wycieńczenia materjalnego, uczyniła cały szmat kraju naszego podobnym do tej chałupy z bajki, w której osiadła, wypuszczona nieopatrznie Zła Dola, i z każdego kąta szczerzy swoją chudą, zgryźliwą twarz.

Nie było tutaj żadnych wielkich tragedji ani dramatów. Nikt nie został zabity na rozkaz komendanta niemieckiego, nikogo nie uprowadzono ze sobą. Oprócz systematycznej grabieży, doprowadzonej do szczytu wyrafinowania nie stało się nikomu nic złego. Wprawdzie wojska niemieckie, po ustąpieniu z niektórych miast, usiłowały je bombardować, ale dla braku czasu i ciężkich dział, nie mogły uczynić im wiele złego. Straty były tylko materjalne, a błyskawiczny pościg armji rosyjskiej nie pozwolił na dalsze próby w tym rodzaju.

Najazd niemiecki w tych okolicach, które zwiedzałem można porównać z przejściem szarańczy, która objadła kraj do ostatniego ziarnka zboża, do ostatniej szczypty soli. Apetyt i chciwość niemiecka wysunęły się ponad wszystko. Nie było czasu na robienie planów dalekich, nie czyniono żadnych obietnic, nie rozlepiano odezw, nie rozpowszechniano żadnych pism ani komunikatów, ani enuncjacji. Nie mówiono nigdy o odbudowaniu Polski. Dla żołnierzy niemieckich bardziej aktualna była na razie sprawa wydobycia odpowiedniej ilości pierzyn, które panowie oficerowie słali sobie w okopach pod nogi.

Przed zdobyciem Warszawy Niemcy nie chcieli i nie mogli mieć nic wspólnego z jakąś misyą polityczną. Dopiero w zdobytej stolicy Polski miał być ogłoszony akt wielkiego politycznego znaczenia.

Armja niemiecka zajmowała się tylko wojną samą we wszystkich jej odgałęzieniach. To też najtrwalsze wspomnienie, jakie po sobie zostawiła w tym kraju nieszczęśliwym, jest nędza, nędza w najpospolitszej postaci, nędza, pozbawiona wszelkiego nawet efektu. — Jedzie się tu nieraz długo i nie widzi się, oprócz spalonych dworów, wysadzonych w powietrze mostów, nic szczególnego. Zielenią się pola oziminy, jak co roku, czasami tylko spotyka się pasy pogorzelisk i długie łańcuchy okopów. Niema tu nigdzie tak straszliwego spustoszenia, jak w najbliższych okolicach Warszawy, gdzie pociski wielkich dział dokonały poprostu fantastycznego zniszczenia. I miasta nie noszą nigdzie specjalnego piętna wojny.

Ale to jest pierwsze przelotne wrażenie. Kto zajrzy, do głębi, ten zobaczy otchłań klęski, która pożarła niejednokrotnie cały dobytek jednostki, zrabowała wszystkie oszczędności, zapasy, zbierane przezornie i cały plon lat urodzajnych.

I nigdy dotychczas fala zniszczenia nie była tak potwornie rozległą w swoich zagonach.

. . . .

Przechodząc ulicami miast, widziałem niekiedy całe dzielnice, jakby zupełnie wymarłe. Drzwi, okna, szyby sklepowe pozabijane deskami, szyldy i tabliczki z nazwiskami pozdzierane, wewnątrz ani jednej żywej

istoty. Robiło to na mnie wrażenie, że przechodzę po śladach zarazy, która powiała tu wszędzie swoją czarną chustą. W nocy kroki zabłąkanego przechodnia odbijają się w tych miejscach echem dalekiem, a wzrok usiłuje napróżno przebić nieprzeniknioną zasłonę ciemności, którą tylko gdzieniegdzie rozwidnia jakieś samotne światełko.

Dwa razy widziałem ludność żydowską, opuszczającą swoje siedziby. Przodem szło kilka wozów. Chude koniska o pokaleczonych nogach, zapadniętych bokach i obnażonych prawie do kości grzbietach, ciągnęły olbrzymie stosy betów, mebli i najprzeróżniejszych gratów. Na tych piramidach siedziały kobiety i dzieci o twarzach bezmyślnie apatycznych, ze wzrokiem tępym i wygasłym. Obok szli woźnice brudni, o nabrzmiałych czerwonych twarzach i niechlujnych brodach. Raz po raz świstał w ich rękach żylastych długi bat i siekł wynędzniałe boki zwierząt. Konie zapierały się mocno na wyboistej drodze i ciągnęły powoli wozy, które brzęczały zardzewiałemi łańcuchami, skrzypiały nienasmarowanemi kołami. A dalej posuwał się cały zbity tłum nędzarzy, niosący na plecach wszystek swój dobytek. Szły kobiety płaczące, prowadząc za rękę gromady dzieci, niewymownie brudnych, o rozczochranych, parszywych głowach, szli mężczyźni o twarzach bladych, jakby z krwi wyssanych, uginając się pod ciężarem olbrzymich tobołów, zarzuconych na plecy — szły staruszki w perukach i czepcach, zgarbione w kabłąk, oparte na kijach tułaczych i do jakichś wiedźm niesamowitych podobne. Szli handlarze, wyrobnicy, spekulanci małomiasteczkowi, kupcy bogaci, sklepikarze, faktorzy, rzemieślnicy i cały nieokreślony, niezbadany tłum nędzarzy, tak przyzwyczajonych do nielitościwych smagań losu, że dola obecna wydawała im się najwidoczniej czemś pospolitem, zwykłem. Szli jak zwierzęta, przyzwyczajone do ćwiczenia grzbietu. Nikt nie płakał, w niczyich oczach nie było ani jednej iskierki buntu. Od czasu do czasu tłum, patrzący na ten pochód, rzucał złe, pogardliwe słowo.

Ale nikt na to nie odpowiadał. Długi sznur ludzi posuwał się naprzód w nieznaną drogę, na nieznany los...

. . . .

Odwrót armji niemieckiej z Królestwa Polskiego uwarunkowany całym szeregiem różnorodnych przyczyn, stał się powszechnym na całej, olbrzymiej linji boju. Niejednokrotnie piechota niemiecka i artylerja zajmowały dobrze umocnione pozycje w okopach zawczasu przez pionierów przygotowanych, niejednokrotnie utrzymywały się tam nawet po kilka dni, ale wszystkie te wysiłki nie były przecież niczem innem,

ak tylko osłanianiem odwrotu bardzo pośpiesznego, maskowaniem klęski niewątpliwej.

Jeden z właścicieli ziemskich pod Skierniewicami, u którego we dworze urządzono telefon polowy, podsłuchał wypadkiem wielce charakterystyczny rozkaz sztabu niemieckiego.

Rozka ten, wydany na dzień następny, brzmiał dosłownie:

— Um ein Uhr alles bereit zu stellen, und drei Uhr ziehen wir ab. Von jeder Batterie eine Kanone, von jedem Infanterieregiment ein Bataillon, von jedem Kavallerieregiment eine Escadrone bleibt zur Deckung des Rückzuges. Es soll nicht heissen, dass wir fliehen.

(O godzinie pierwszej mieć wszystko w pogotowiu, o godzinie trzeciej wyruszamy. Dla ukrycia odwrotu zostaje z każdej baterji jedna armata, z każdego pułku piechoty jeden batalion, z każdego pułku kawalerji jeden szwadron. To nie ma znaczyć, że uciekamy).

Naczelne dowództwo armji niemieckiej, jako też wszyscy oficerowie, dokładali niewymownych starań, aby cały odwrót odbywał się w najzupełniejszym porządku. Chodziło o złożenie namacalnych dowodów, że żołnierz niemiecki w niepomyślnych nawet warunkach nie traci ducha i nie wyłamuje się z żelaznej obręczy dyscypliny. Chodziło sztabowcom niemieckim o to, aby ten odwrót miał charakter manewru zgóry obmyślonego i przygotowanego, chodziło o utrzymanie tej tajemniczości, która otaczała wszystkie dotychczasowe operacje — chodziło o wpojenie przekonania w żołnierzy, że to, co się dzieje, dzieje się dobrze. Wszak krwawe bitwy w suwalskiem, gdzie można było suchą nogą po trupach rzeki przechodzić nazywały się «bluffem», a oblężenie Warszawy demonstracją.

Bądź co bądź historja strategji nie znała do tej pory tak kosztownych «bluffów» i demonstracji.

O szczegóły odwrotu niemieckiego pytałem przedewszystkiem mieszkańców okolic, — które zwiedzałem. Opowiadania ich były najrozmaitsze, często z sobą sprzeczne, kiedy jednak zacząłem te wiadomości segregować według miejscowości poszczególnych, okazało się, że wszystkie relacje pozornie chaotyczne dopełniają się najzupełniej logicznie.

Oto poprostu odwrót niemiecki, rozpoczęty z wielką systematycznością i porządkiem, rozprzęgał się coraz bardziej, im dalej się posuwał. Mieszkańcy bliższych okolic widzieli jeszcze karność i efektowną punktualność. Mieszkańcy dalszych okolic widzieli już zaczątki dezorganizacji, rozstroju i nieraz zupełnego rozprzężenia, na co oficerowie niemieccy patrzyli przez palce. Żołnierz niemiecki, który przechodził tędy po raz pierwszy pełen dobrej otuchy,

niejednokrotnie upewniany, że Warszawa już zdobyta i chodzi tylko o zajęcie jej na leże zimowe, — nie mógł być zadowolony, kiedy nareszcie zrozumiał, że to już nie strategiczne manewrowanie, lecz, że nadszedł czas odwrotu, to jest czas nowych niewygód, walki, w kraju wyniszczonym poprzednio i ogołoconym ze wszystkiego. Tymczasem mieszkańcy Łowicza, Skierniewic, Rawy, Nowego Miasta patrzyli ze zdziwieniem.

W ich oczach odbywały się jakieś ruchy niezrozumiałe. — Jednego dnia np. koło Rawy przeciągnął długi sznur samochodów, najpierw towarowych, potem pasażerskich. Nieliczni przechodnie widzieli w tych drugich jakichś dostojników cywilnych i wojskowych, tajemniczych panów z orderami na piersiach i wiele kobiet starych i młodych, otulonych w kosztowne futra, z pod których błysnęła od czasu jakaś suknia wspaniała. Utarło się potem wśród mieszkańców przekonanie, że to uciekał z powrotem dwór króla saskiego, niedoszłego władcy Polski...

Jednocześnie z tymi pierwszemi ruchami rozpoczęła się gorączkowa ewakuacja rannych, których przewożono samochodami i podwodami chłopskiemi. Ciężko rannych i chorych zakaźnie zostawiano na łaskę losu. Wszystkie szpitale, punkty opatrunkowe zostały ogołocone do cna, wraz z nimi znikali i doktorzy. Żołnierze stojący załogą po miastach rabowali tymczasem bez wytchnienia i bez żadnych względów. Ze sklepów zabierano wszystko, co padło pod rękę i wywożono podwodami w dalsze okolice. Szczególnie poszukiwano soli i owsa, który zabierano nawet furmanom. Oficerowie byli przywódcami i kierownikami tej grabieży.

Wreszcie zaroiło się na wszystkich drogach od wozów intendentury, najrozmaitszych powózek, samochodów, piekarni wojskowych, wozów z amunicją. Od czasu do czasu przeciągały małe oddziały piechoty i kawalerji, widocznie rozbite resztki niegdyś całych pułków. Niejednokrotnie widziano oddziały, złożone z samych oficerów różnej broni, czarnych huzarów nie wyłączając. Około 20 października rozpoczął się ogólny odwrót.

Szły bez przerwy tabory olbrzymie, przeciągały armaty, mitraljezy, jaszczyki z amunicją, szły olbrzymie masy piechoty i kawalerji. Wojsko było znużone śmiertelnie, konie zziajane i jak to się mówi «ścięte», nadzwyczaj żałosny przedstawiały widok. Wogóle artylerja, zwłaszcza ciężka, nie miała wcale koni. Można bez najmniejszej przesady powiedzieć, że gdyby w tej części kraju usunięte były wszystkie konie, artylerja niemiecka nie wyjechałaby ztąd poprostu dla braku siły pociągowej. Ocalała tylko dzięki temu, że zdołano jeszcze zarekwirować dostateczną liczbę polskich koni.

Jak krwawa ironja losu wyglądały te wielkie działa niemieckie, które ciągnęły dworskie cuganty o skurtyzowanych ogonach, łowickie ogiery i zwykłe chłopskie mierzynki. Tylko gdzieniegdzie ledwo powłócząc nogami wlókł się niemiecki koń, olbrzymi jak wielbłąd, o zapadniętych bokach i sterczących kłębach. Widziałem kilka razy te konie, zaprzężone do armat, wziętych do niewoli podczas odwrotu. Mają one w sobie coś tak szczególnego, że wypada się bliżej nad nimi zastanowić. Zwłaszcza, że w dalszej wojnie przyjdzie im napewno odegrać rolę poważną.

Nie upłynie wiele czasu, a cesarz Wilhelm będzie musiał zawołać:

— Królestwo za konia!

Armja niemiecka niema koni. Te, które posiada, zużyła prawie zupełnie. Wszakże właśnie podczas odwrotu wojsk niemieckich z pod Warszawy widziano całe oddziały kawalerji, której konie nie umiały już ani kłusować, ani galopować należycie. Posuwały się one naprzód czemś w rodzaju urywanego truchcika. Nie jestem znawcą koni, lecz te okazy, które widziałem, uczyniły na mnie wrażenie specjalnej rasy, wyhodowanej umyślnie dla użytku wojskowego w myśl zasady:

— Co duże, to dobre:

Koń niemiecki nie robi wrażenia konia, jest ostatecznem przejściem pomiędzy zwierzęciem a maszyną. Posiada wszystkie cechy psychiczne wyżła niemieckiego, którego się tresuje batem, ciemnicą i głodem. Nikomu nie może przyjść ną myśl, aby takiego konia pogłaskać, albo poklepać po karku. Jest coś dziwnie bezmyślnego w wyrazie oczu tego smutnego bydlęcia, które spełnia swój obowiązek jak maszyna, tak długo, aż wreszcie zadrze wszystkie cztery nogi do góry i zdechnie nie żałowany przez nikogo, odrzucony na bok, tak, jak się odrzuca zużyty kawał maszyny.

A co najważniejsza ten koń pozornie idealny, ten nad-koń, który urodził się w epoce Zeppelinów i 42-centymetrowych armat, okazał się niewytrwałym, niepraktycznym, sztucznym wytworem, który musi ustąpić przed najzwyklejszym chłopskim mierzynkiem. Tak, jak żołnierz niemiecki musi mieć swoją kiszkę grochową i pierzynę, tak koń musi mieć swoją stajnię i pełny żłób owsa. Niewygody go zabijają — zrozumiała to armia niemiecka i dlatego doprowadziła rekwizycję koni aż do śmieszności. I dlatego to, raz jeszcze powtarzam, artylerję niemiecką uratowały nasze konie chłopskie i dworskie. Dlatego to w Belgii zabierano nawet najlichsze szkapy dorożkarskie.

I ten dygoczący, na okaleczałych nogach podrygujący koń niemiecki zdawał się być pierwszym zwiastunem klęski.

Stało się jednak inaczej.

. . . .

Cofające się wojska austrjacko-niemieckie odeszły jak wiadomo jedną grupą na linię Częstochowa — Kraków, drugą na Toruń — Poznań. Kawalerja rosyjska przeszła już wtedy granicę niemiecką pod Pleszewem. — Niebawem jednak okazało się, że Niemcy cofając się, przygotowali już z właściwą sobie systematycznością plan nowej ofensywy. Ledwo dotknęli się swojej bogato rozgałęzionej sieci kolejowej, wprowadzili natychmiast nowe rezerwy i zaczęli natychmiast swe słynne natarcie pomiędzy Wisłą a Wartą, które rozwinęło się niebawem w walkę pozycyjną, w tak zwaną walkę o lewy brzeg Wisły. Nowe natarcie skończyło się wojną oblężniczą, pozycje rozsypały się wedle biegu rzek Bzury, Rawki, środkowej i górnej Pilicy, Nidy i Dunajca.

Pola, poryte już przedtem okopami, pola, które słyszały grzmot dział podczas pierwszego natarcia Niemców, stanęły znowu w ogniu walki, straszliwszej niż przedtem, długiej, uporczywej, zalewającej krwią każdą piędź zdobytej ziemi. Warszawa opasana żelaznym pierścieniem, została odcięta znowu od przeważającej części Królestwa Polskiego. Sytuacja stała się znowu niepewną i zagadkową. Ale to już nikogo nie przeraża i w niczem nie tamuje naszego życia. O kilkadziesiąt wiorst od pól śmierci Warszawa roi się tłumami ludzi, skąpana w potokach światła. Wojna stała się tylko naszem przyzwyczajeniem, naszym nałogiem...

IV.

Było to podczas bitwy łódzkiej, w kilka dni po boju brzezińskim, kiedy spotkaliśmy ludzi, grzebiących trupy.

W wielkich dołach, wykopanych przez ludzi z szarwarku, układano jednego zabitego obok drugiego — warstwami. Potem cały ten pokład ciał ludzkich przesypywano ziemią z wapnem i układano warstwę następną. Ze stosu trupów wędrował jeden po drugim. Czasami nieśli go ludzie na płaszczu, rozpostartym szeroko, czasami wlokły go po ziemi konie. I wtedy głowa, podskakująca na każdej nierówności gruntu, zdawała się ożywiać na chwilę i miotać w bezsilnej rozpaczy.

Byliśmy już daleko od tego miejsca, ale wspomnienie tych strasznych obrazów szło za nami, jak wierny pies.

Tak idąc, natknęliśmy się na jeszcze jednego zabitego.

Tuż obok plantu kolejowego, gdzie stał nasz pociąg sanitarny, leżał trup żołnierza niemieckiego, obrócony na wznak, z rękoma splecionemi na piersiach. W dłoniach, kurczowo zaciśniętych, trzymał jakiś przedmiot.

Tknięci dziwnem przeczuciem, zatrzymaliśmy się koło niego. Wydawał nam się dziwnie spokojnym i cichym. Można było nawet pomyśleć, że to nie trup, że to śpi sobie spokojnie jakiś człowiek, który przed chwilą rzetelnie pracował i teraz odpoczywa. Tylko mundur na piersiach krwią przepojony, tylko nogi, sterczące w białych onucach, już obdarte z butów, zdradzały śmierć i rabunek. Na oczach jego leżały dwa płaty śniegu, dwie białe plamy, widoczne zdaleka — jakby dwa dotknięcia dobrej dłoni, która na te oczy, może bezsenne, przerażeniem obłąkane, świata pragnące nie widzieć, położyła białą zasłonę.

I wydał nam się dziwnie smutnym ten żołnierz niemiecki, kiedyśmy stanęli tuż przy nim. Pochyliłem się nad nim i zobaczyłem, że w dłoniach zaciśniętych trzymał starą, pożółkłą książkę do nabożeństwa, podartą i bez okładki. Pochyliłem się nad nim jeszcze bardziej i zobaczyłem pierwsze słowa modlitwy po polsku.

Przed nami leżał trup brata naszego. Zabity żołnierz niemiecki był polakiem. Oprócz książki do nabożeństwa, nie było na to żadnego dowodu.

Napróżno szukaliśmy na jego piersiach blaszki z nazwiskiem, którą ma na sobie każdy żołnierz niemiecki. . . . .

Był to polak bezimienny — może chłop poznański, może górnik szląski, może westfalski robotnik... Staliśmy nad nim i myśleliśmy skąd pochodzić może i gdzie jest jego rodzina, której nikt nie doniesie o smutnym zgonie ojca. Dwie białe plamy śniegu wryły się nam w mózg, jak dwa stygmaty cierpiepienia, — trudno się było oderwać od nich, i teraz, kiedy myślę o tem wszystkiem, widzę je znowu tak wyraźnie, jak wtedy.

Moi towarzysze postanowili wykopać dla niego osobną mogiłę, i pogrzebać go tuż obok plantu kolejowego. W naszym pociągu sanitarnym znalazły się dwie łopaty i oskard.

Trzech młodych, silnych ludzi chwyciło za nie i na miejscu, wybranem na mogiłę, rozległo się pierwsze suche uderzenie oskarda o zamarzniętą ziemię.

Praca szła opornie. Podorywka, ściśnięta mrozem, odpierała najtęższe nawet uderzenia łopaty, tylko oskard mógł jako tako pracować.

Zmienialiśmy się przy nim ciągle i aniśmy się spostrzegli, że już nastał wieczór i księżyc rozsuwa dokoła swoje zimne, migotliwe światło.

Koło nas zamajaczyły jakieś niewyraźne sylwetki. Zatrzymało się kilku ludzi i jakaś mała wiejska dziewczyna.

Patrzyli przez chwilę na naszą robotę, wreszcie jeden z nich roześmiał się i zawołał urągliwie:

— Ciężko idzie paniczom!

— Niewprawniśmy, lepiejby poszło, żebyście nam pomogli.

— Cały dzień nacharowałem się przy tych umarlakach, to się po nocy nie będę brał do roboty. A co państwu potem?

— Widzicie, znaleźliśmy tu zabitego polaka, nie trzeba go tu przecie, jak psa, niepogrzebanego zostawić.

Ale ludzie wzruszyli ramionami i poszli do domu — został przy nas tylko jeden, jakiś chuderlawy wyrobnik o tempem spojrzeniu i wymizerowanej twarzy. Stał i patrzył na nas. Wreszcie powoli podszedł bliżej, i nic nie mówiąc, zaczął pracować szybko, wprawnie, jak maszyna. Zdawało się, że z tego chuderlaka żadna robota nie będzie miała pociechy. A oto musieliśmy patrzyć ze zdumieniem na jego ruchy błyskawiczne, mądre i celowe, na zgodność rytmu jego uderzeń i żelazną automatyczną wytrwałość.

W krótkim przeciągu czasu dokonał tyle, co my wszyscy dotychczas — niebawem przedarł się przez stwardniałą skorupę, odrzucił oskard i chwyciwszy za łopatę, zagłębił ją w sypkim miąszu ziemi.

Wtedy wszyscy rzuciliśmy się ze zdwojoną energią do pracy i niebawem dół był gotów.

Tymczasem wróciła z powrotem mała dziewczynka. Zdaleka ktoś już spostrzegł, że wlecze za sobą coś wielkiego, ciężkiego.

— Patrzcie, ona niesie krzyż.

Podeszła ku nam bliżej i upuściła na wał ziemi krzyż, pięknie wyciosany z bierwion sosnowych.

— Skądże to wzięłaś — zapytałem.

— Tata zrobił.

Ktoś wyciągnął z kieszeni pieniądze i podał jej srebrną, błyszczącą złotówkę.

Dziecko pokręciło niechętnie głową i szepnęło cicho:

— Nietrzeba...

A nasz chuderlawy pomocnik dodał tonem objaśnienia:

— Ona nie weźmie...

Kiedy już wszystko było gotowe, przenieśliśmy na własnym jego płaszczu trupa polskiego żołnierza. Ostrożnie opuściliśmy go na pasach w dół wykopany. Leżał tam na wznak i znowu obróciły się ku nam dwie białe plamy.

Wziąłem pierwszy łopatę i rzuciłem mu garść ziemi na piersi. Osunęła się z głuchym szelestem po płaszczu i mundurze.

Prędko urosła mogiła a na niej stanął krzyż z prostym napisem, wyciętym scyzorykiem:

«Tu leży polak z zaboru pruskiego».

Kiedy dzieło nasze zostało skończone, usłyszeliśmy turkot wozów i jęki rannych i okrzyki, wzywające nas do pracy.

Pobiegliśmy szybko, wołając:

— Żegnaj bracie!

Obróciłem się potem raz jeszcze i w niepewnym blasku księżyca zobaczyłem mogiłę, a nad nią człowieka o łopatę opartego i małą wiejską dziewczynkę.

STANISŁAW DZIKOWSKI.



REZERWIŚCI-POLACY POWOŁANI DO ARMII ŻEGNALI SIĘ NA PRADZE Z RODZINAMI.



WYMARSZ REZERWISTÓW-POLAKÓW Z PRAGI NA PLAC BOJU.

WARSZAWA WE WRZEŚNIU ROKU 1914.



PIERWSI RANNI.

WARSZAWA W PAŹDZIERNIKU ROKU 1914.



STRZELCY SYBERYJSCY NA ULICACH MIASTA PRZED WYRUSZENIEM NA «POZYCYE».

WARSZAWA W PAŹDZIERNIKU ROKU 1914.



PRZEMARSZ LEKKIEJ POLOWEJ ARTYLERYI.



POJAWIENIE SIĘ PIERWSZEGO AEROPLANU NIEMIECKIEGO
PODNIECAŁO WIĘCEJ CIEKAWOŚĆ NIŻ OBAWĘ.

WARSZAWA W PAŹDZIERNIKU ROKU 1914.



OSTRZELIWANIE AEROPLANU NIEMIECKIEGO.



ESKORTOWANIE JEŃCÓW NIEMIECKICH DO BARAKÓW NA PRADZE.

WARSZAWA W GRUDNIU ROKU 1914.



LOTNY ODDZIAŁ POLSKIEGO KOMITETU SANITARNEGO
Z P. JÓZEFEM WIELOWIEYSKIM NA CZELE WYRUSZA NA «POZYCYE».



SANITARYUSZKA I RANNY ŻOŁNIERZ.



PRZEZ CAŁY CZAS TRWANIA WOJNY WARSZAWA MIEŚCIŁA W SWYCH MURACH
LICZNE RZESZE BEZDOMNYCH ZE WSZYSTKICH STRON KRAJU

POD WARSZAWĄ W STYCZNIU ROKU 1915.





WOJSKA TURKMEŃSKIE OBOZOWAŁY NIEDALEKO MIASTA.

POD WARSZAWĄ W STYCZNIU ROKU 1915.



KONIE TURKMEŃSKIE NIEPRZYZWYCZAJONE DO NASZEGO KLIMATU

POD WARSZAWĄ W STYCZNIU ROKU 1915.





OKOPY I ZAGRODY PRZYGOTOWANE ZAWCZASU.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.





1) UCIECZKA Z MIEJSCOWOŚCI OBJĘTYCH WOJNĄ.
2) PRZEMARSZ WOJSK.



OPUSZCZONA PRZEZ MIESZKAŃCÓW WIEŚ W OKOLICY SOCHACZEWA.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.





CZYSTA BIELIZNA NA POZYCYACH CZOŁOWYCH.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



PODJAZD KOZACKI.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



PRZED PŁONĄCĄ WIOSKĄ.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



REKONESANS OFICERSKI.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



ODPOCZYNEK BATERYI.





PODJAZDY KOZACKIE.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



LUDNOŚĆ MIEJSCOWA PRACOWAŁA NIEJEDNOKROTNIE PRZY KOPANIU TRANSZEI.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



LUDNOŚĆ MIEJSCOWA PRZY BUDOWANIU FORTYFIKACYI REZERWOWYCH

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.





OKOPY.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



W OKOPACH.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



OSTRZELIWANIE NIEPRZYJACIELA Z CHATY.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



KARABIN MASZYNOWY.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



ZMIANA POZYCYI.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



OPATRYWANIE RANNYCH NA POZYCYACH PRZEZ LUDNOŚĆ POLSKĄ.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



OPATRYWANIE RANNYCH W OKOPACH PRZEZ SANITARYUSZA WOJSKOWEGO.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.





JEŃCY NIEMIECCY.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.





RANNI ŻOŁNIERZE NIEMIECCY.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



WIERNY PRZYJACIEL.

POD WARSZAWĄ W LUTYM ROKU 1915.



PO BITWIE.

WAŻNE! **DLA WSI I MIAST.** **WAŻNE!**



Latarnia „ISKRA"

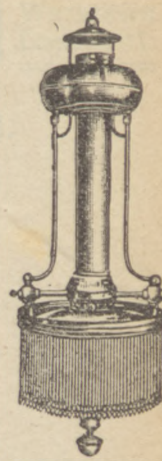
FABRYKA
WYROBÓW METALOWYCH I EMALJERNIA

E. KRZEMIŃSKI

W WARSZAWIE, ULICA MONIUSZKI № 5.

Adres. telegr.: „ISKRA" Warszawa.

Telefony: Nr 20-07, Nr 69-14



Lampa „EKA".

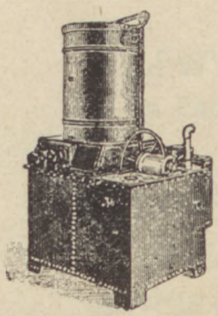
LATARNIE „ISKRA"

naftowo-żarowe o sile 1000 i 1650 świec do **zewnętrznego** oświetlenia miast, fabryk, dworów, ogrodów.

LAMPY „EKA", „SFINKS"

naftowo-żarowe o sile 75, 100 i 200 świec do **wewnętrznego** oświetlenia mieszkań, kościołów, szkół, szpitali itp.

NAJTAŃSZE i NAJTRWALSZE W UŻYCIU, ZASTĘPUJACE GAZ i ELEKTRYCZNOŚĆ, DAJĄCE NIEBYWAŁĄ OSZCZĘDNOŚĆ.



Aparat „EKA".

APARATY GAZOWE „EKA"

wytwarzające gaz powietrzny **do centralnego** oświetlenia, ogrzewania i celów techniczn.

NAJTAŃSZE i MOŻLIWE WSZĘDZIE DO ZASTOSOWANIA ŹRÓDŁO

ŚWIATŁA, SIŁY, CIEPŁA.

CENNIKI I OFERTY NA ŻADANIE.

EMALJOWANE NAPISY

informacyjne i reklamowe dla miast, sklepów, firm i t. p., emaljowanie różnych przedmiotów metalowych.

ODLEWY Z MOSIĄDZU i CYNKU

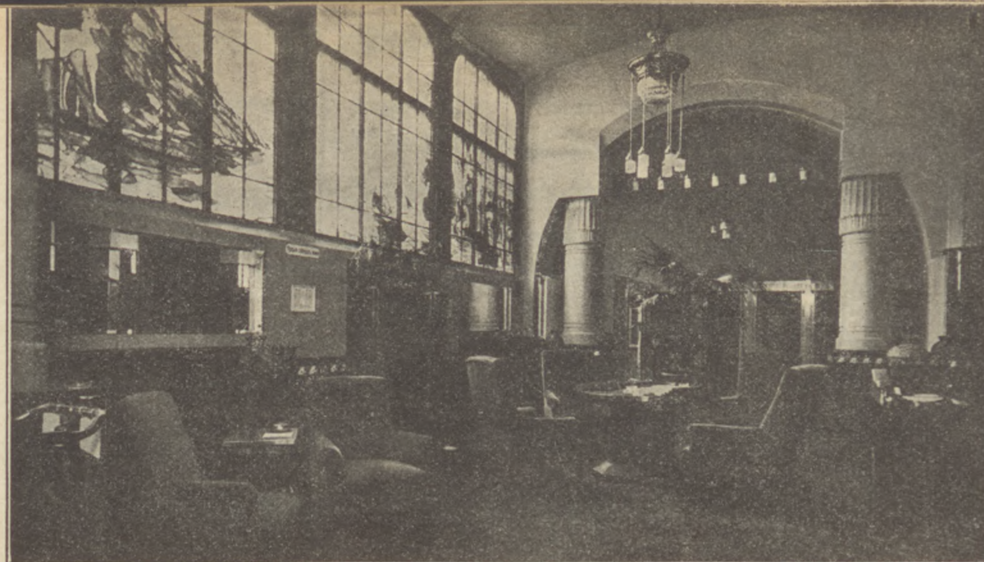
WYROBY BRONZOWNICZE OZDOBNE

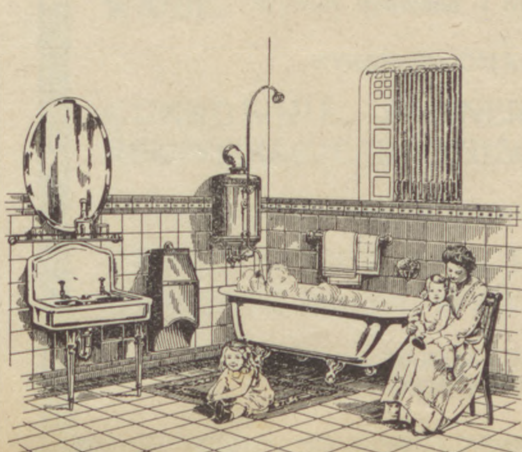
NIKLOWANIE i BRONZOWANIE.



Lampa „SFINKS".

WAŻNE! **DLA FABRYK I DWORÓW.** **WAŻNE!**







Za 3 kop. gazu do ugotowania całego obiadu!
3 kop.

1882 r. NAJWYŻSZA NAGRODA: WIELKI MEDAL ZŁOTY — KIJÓW 1913 ROK. □ □ □ □ □ □ 1895 r.

═══ WSZECHŚWIATOWE WYSTAWY ═══

MOSKWA — w PARYŻU 1900 R. Grand prix — w TURYNIE 1911 R. Grand prix — N. NOWOGRÓD

□ □ □ □ □ □

TOWARZYSTWO AKCYJNE

ZAKŁADÓW MECHANICZNYCH

BORMAN, SZWEDE i S-ka

W WARSZAWIE.

KOTŁY PAROWE wszelkich systemów Wodnorurkowe, specjalnie do wysokich ciśnień. Podgrzewacze, Przegrzewacze i Ekonomajzery.

HYDRAULICZNE i PNEUMATYCZNE NITOWANIE. Wyroby spawane i hydraulicznie wytłaczane.

WYKONYWA CAŁKOWICIE:

CUKROWNIE, RAFINERJE, GORZELNIE, REKTYFIKACJE, DROŻDŻOWNIE, BROWARY

jak również urządza według najnowszych wymagań techniki:

KROCHMALNIE, SYROPIARNIE oraz SUSZARNIE kartofli, WYWARNIE wytłoków.

ODDZIAŁY: w WARSZAWIE, PIOTROGRODZIE, KIJOWIE i MOSKWIE. □ □ □ □ □

AKCYJNE TOWARZYSTWO PRZEMYSŁOWE

ZAKŁADÓW MECHANICZNYCH

„LILPOP, RAU i LOEWENSTEIN"

w WARSZAWIE.

Zakłady istnieją od roku 1818. — 1865 — 1882 — 1870 — Kapitał Zakładowy 4,000,000 rubli

1. Wagony towarowe i osobowe dla dróg żelaznych, oraz tramwajów konnych i elektrycznych.
2. Wagony specjalne do przewozu spirytusu, nafty i t. p. Wagony chłodnie do przewozu mięsa, piwa, masła i t. p.
3. Koła, osie, resory i wogóle części zapasowe do wagonów różnych typów
4. Zwrotnice, krzyżownice i akcesorja relsowe.
5. Mosty kolejowe i wogóle konstrukcje żelazne.
6. Kompletne wodociągi dla stacji, dróg żelaznych i miast.
7. Rury wodociągowe stojące lane i odlewy żelazne.
8. Maszyny parowe różnych systemów.
9. Kotły parowe i wogóle wyroby kotlarskie.
10. Kompletne instalacje zakładów do nasycania podkładów kolejowych.
11. Powózki i pociski dla Ministerjum Wojny.
12. Maszyny dla przemysłu ceramicznego.

Zamówienia przyjmuje Zarząd w Warszawie, ul. Książęca 2a i przedstawicielstwa Towarzystwa:

w PIOTROGRODZIE: ul. Bassejnaja № 58, tel. 190-41.
w MOSKWIE: ul. Miasnickaja № 24.
w KIJOWIE: Plac Mikołajewski № 4, tel. 1-15.

ADRES DLA DEPESZ:
dla Warszawy, Piotrogrodu, Moskwy i Kijowa: „PRZEMYSŁOWE".



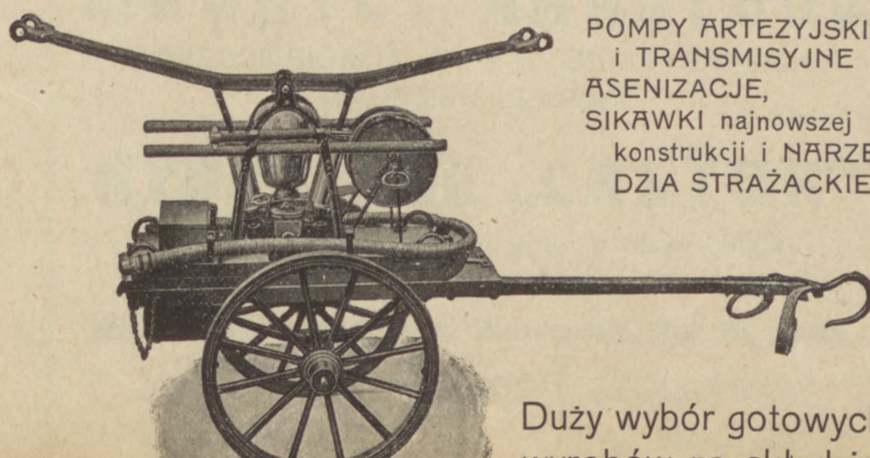
FABRYKA POMP i NARZĘDZI OGNIOWYCH

„STRAŻAK"

TOW. KOMANDYTOWE
inż. F. KWASKOWSKI i S^KA^
W WARSZAWIE

Wola, ul. Syreny № 3
Tel. 110-55.

Kantor
ul. Sienna № 39
Tel. 111-55.



BUDUJE:
POMPY ARTEZYJSKIE i TRANSMISYJNE
ASENIZACJE,
SIKAWKI najnowszej konstrukcji i NARZĘDZIA STRAŻACKIE

Duży wybór gotowych wyrobów na składzie

Wielki Złoty Medal w WARSZAWIE 1902 r.	**Medal Srebrny** w JEKATERYNOSŁAWIU 1910 r.	**Dypl. uznania na wystawie** w LUBLINIE 1901 r.
Wielki Srebrny Medal w ODESIE 1910 r.	**Wielki Złoty Medal** w ROSTOWIE n/D. 1912 r.	**Wielki Srebrny Medal** w WARSZAWIE 1912 r.

W. ORTH & S-ka

PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA

FRANCUSKICH POSADZEK CEMENTOWYCH INKRUSTOWANYCH

dawniej N. CLAUSSE, V-e R. FRISON,
WARSZAWA—PARYŻ

oraz **WYROBÓW BETONOWYCH i ŻELBETOWYCH**

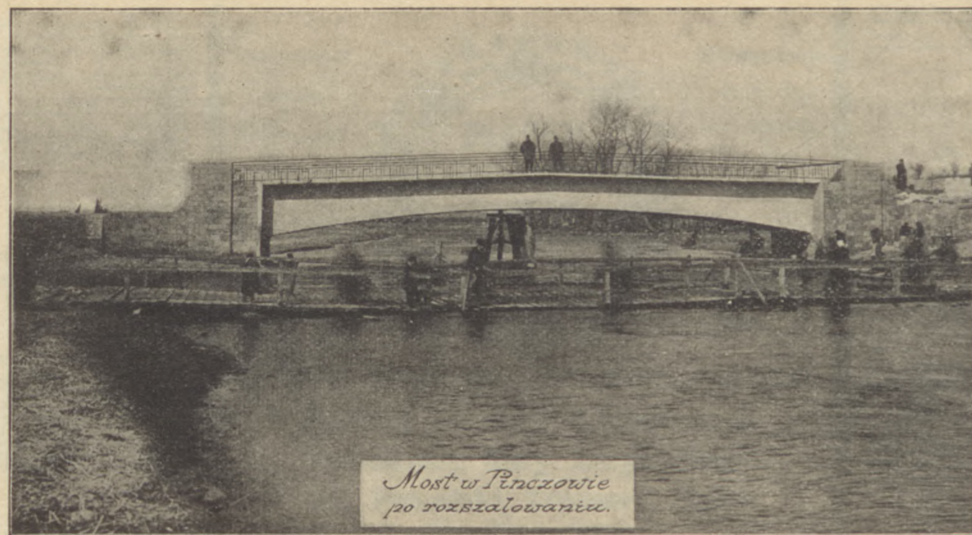
KANTOR: Książęca 6 (róg Nowego-Światu), tel. 68-48.
FABRYKA: Wolska 52, tel. 61-61.

CENNIKI, KATALOGI I PRÓBY NA ŻĄDANIE.

Niemożność otrzymywania posadzek cementowych w kolorze białym stanowiła dotychczas jedyną ujemną stronę powyższych wyrobów. Po przeprowadzeniu jednak w tym kierunku całego szeregu prób brak ten udało nam się usunąć i rozpoczęliśmy wyrób płytek **w naturalnym białym kolorze**, tak, że obecnie posadzka naszego wyrobu zupełnie nie różni się wyglądem swoim od posadzek terrakotowych.

REPREZENTANCI:

Kijów — K. Srokowski, inżynier, Stołypińska 50.
Wilno — W. Hattowski, inżynier, Ś-to Jerski prospekt 19.
Odesa — A. Cyperowicz, Targowa 7.



Most w Pinczowie po rozszalowaniu.

OBECNIE ZBURZONY.

WPan Leonard Iwanowski, Inżynier Technolog, Prezes Inspekcji Techniczno-Budowlanej i Zarządzający Wydziałem Budowlanym Ministerjum Finansów, oraz właściciel majątku Lebiodka, p. Wasiliszki, gub. Wileńskiej, w liście daty 3/16 Maja 1912 r. pisze:

Prowadzone przezemnie budowy z pustych bloków cementowo-wapienno-piaskowych w budynkach Rządowych, prywatnych i moich własnych, dają bardzo dobre rezultaty; otrzymuje się budynki tanie, ładne, trwałe, ciepłe i suche, zdatne do zamieszkania zaraz po ukończeniu; budowa zaś takowych postępuje bardzo szybko...

□ □ □

WPan Jan Roht (właściciel dóbr Wierzchowice, p. Wysokie-Litewskie, gub. Grodzieńskiej) pod datą 4/17 Listopada 1912 r. pisze:

Od czasu kupienia maszyny wszystkie nowe dachy kryję dachówką cementową, wyrabianą na miejscu. Dachówka na dachach nie pęka i nie lasuje się nawet nad kotłem w gorzelni.—Tego typu dachy uważam za najtańsze i najpraktyczniejsze dla celów gospodarczych.

□ □ □

Administracja Cukrowni Trościaniec (p. Trościaniec Podolski, gub. Podolskiej) pod datą 11 Stycznia 1913 r. pisze:

Z dostarczonych przez WPanów w różnym czasie maszyn do wyrobu dachówki piaskowo-cementowej i podkładek do nich, Administracja jest niezmiernie zadowolona jak również i z wyjątkowych zalet oraz dobroci samej dachówki piaskowo-cementowej, wyrobionej na tych maszynach.

□ □ □

WPan Leszek Cielecki (właściciel majątku Zygry, p. Szadek, gub. Kaliskiej) pod datą 12 Października 1912 r. pisze:

Z maszyny, kupionej u WPanów do wyrabiania dachówki cementowej — jestem zupełnie zadowolony. Wyrabiając na niej trzeci rok dachówkę, przekonałem się, że prosta i mocna konstrukcja oraz łatwy wyrób dachówki na niej w zupełności odpowiada wymaganiom wiejskiej fabrykacji. Dachówka zaś, wyrabiana na owej maszynie, jest, o ile się przekonałem, wyrabiając ją i kryjąc dachy trzeci rok, najtańszym, najpraktyczniejszym i najłatwiejszym materjałem do krycia dachów.

CO MOŻNA ROBIĆ

Z PIASKU i CEMENTU?

Najtrwalsze, suche, ciepłe i najtańsze **BUDYNKI** z t. zw. pustaków.

PIASEK MOŻE DAWAĆ ZNACZNE ZYSKI

Bardzo trwałą, ładną, nieprzepuszczającą i stanowczo najtańszą **DACHÓWKĘ** ogniotrwałą.

Nadto z biegiem czasu również coraz trwalsze:

Sączki (Dreny), Cembrowinę studzienną, Rury, Słupy, Stopnie, Posadzki, Trotuary, Żłoby

i t. p.

Największy Wybór Maszyn krajowych tego całego przemysłu tyczących (poczynając od rb. 20) polecają:

J. ZABOKRZECKI i S-ka

Warszawa, Włodzimierska 9.

□ □ □

Robota b. prosta, (Instruktor wyucza w 2 dni na miejscu). Zyski dla przedsiębiorców duże. Liczne medale i świadectwa. Broszury z opisami na żądanie.

UWAGA. Z pośród bardzo wielu świadectw, otrzymanych przez naszą firmę, przytaczamy obok tylko kilka. Na żądanie wysyłamy całą broszurę specjalnie z samemi świadectwami.

WPan Tadeusz Dekański (właściciel ma
Psary, p. Bielsk, gub. Płockiej), pod dat
5 Grudnia 1912 r. pisze:

*Duże bloki, zwane pustaki, są idealne. Pobu
dowałem z nich dom i pomimo ciągłych deszczó
mieszkanie jest suche i w mojej okolicy o połow
tańsze, niż z cegły palonej.*

□ □ □

Administracja Dóbr „Brzezie i Wieniec
(m. Brzezie, p. Włocławek, g. Warszawskiej
własność Barona L. Kronenberga pod dat
18 Grudnia 1909 r. pisze:

*Bardzo dziękuję WPanom za sprzedaną na
maszynę do wyrobu dachówki piaskowo-cement
wej. Niewymownie z niej jestem kontent.
Dachówka ślicznie leży na dachu, przyte
szczelnie przylega jedna do drugiej i nie możn
jej porównać z dachówką glinianą, od szeregu la
wyrabianą i wypalaną u nas na miejscu.
Słowem jestem zupełnie zadowolony z kupn
maszyny i uważam, że każdy właściciel majątk
mający odpowiedni piasek, winien taką maszyn
posiadać.
Wyrobu dachówki z gliny zupełnie zaniechałem
a ponieważ nie zauważyłem ani pękania, ani lasowani
się dachówki piaskowo-cementowej, przeto obecnie, p
mimo tego, że jest Grudzień, forsuję wyrób jej w cie
płym budynku i wyrób ten prowadzić pragnę prze
całą zimę.*

□ □ □

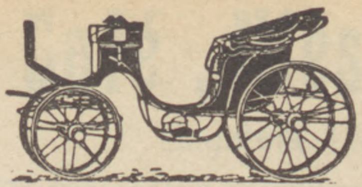
Administracja Dóbr Rakitnaja (p. Rakitnaja
gub. Kurskiej, własność Księżnej Jusupowe
pod datą 3/16 Stycznia 1913 r. pisze:

*Z piasku i cementu otrzymujemy dachówkę znak
mitej dobroci, która z zupełnem powodzeniem wy
piera dachy innego rodzaju.*

□ □ □

WPan Jan Gackowski (wieś Prandocin, p
Słomniki, g. Kieleckiej) pod datą 28 Listopa
da 1912 r. pisze:

*Nabyta maszyna u WPanów typu „A" pracuje bar
dzo dobrze pomimo dwuletniej pracy. Dachówka jes
bardzo dobra, kryje szczelnie i jest zupełnie nie
przemakalna. To też swą dobrocią i zaletą pobi
wszystkie wyroby okoliczne.
Czuję się więc w obowiązku złożyć WPanom ser
deczne podziękowanie.*



Fabryka Powozów

FIJAŁKOWSKI i KOWALCZYK

Warszawa, Leszno 58 i 23

Tel. 64-71

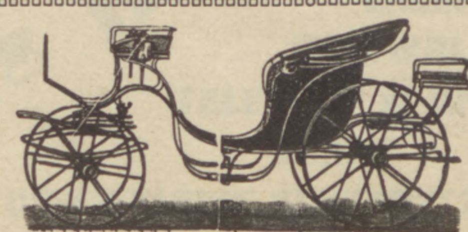
POLECA WIELKI WYBÓR:

Karet
Land
Faetonów
i Amerykanów

różne typy BRYCZEK

Dorabia nowe karoterja do samochodów i takowe odnawia.
Przyjmuje używane powozy na zamianę.
Wysyłamy na wieś dla sporządzenia kosztorysów na odnowienie powozów.

CENNIK FRANCO.



Auto-Garaż

Warszawa — *Leszno 25.*

SPRZEDAŻ

nowych i używanych automobilów

wynajem i reparacje

Części składowe i zapasowe automobilów stale na składzie

Przedstawicielstwo oraz skład pierwszorzędnych automobilów

„Germain”

i opon „Michalin”

INFORMACJE NA KAŻDE ŻĄDANIE.

Automobile sprzedawane są według cen fabrycznych, dolicza się tylko kosz̄t przesyłki i podatku.